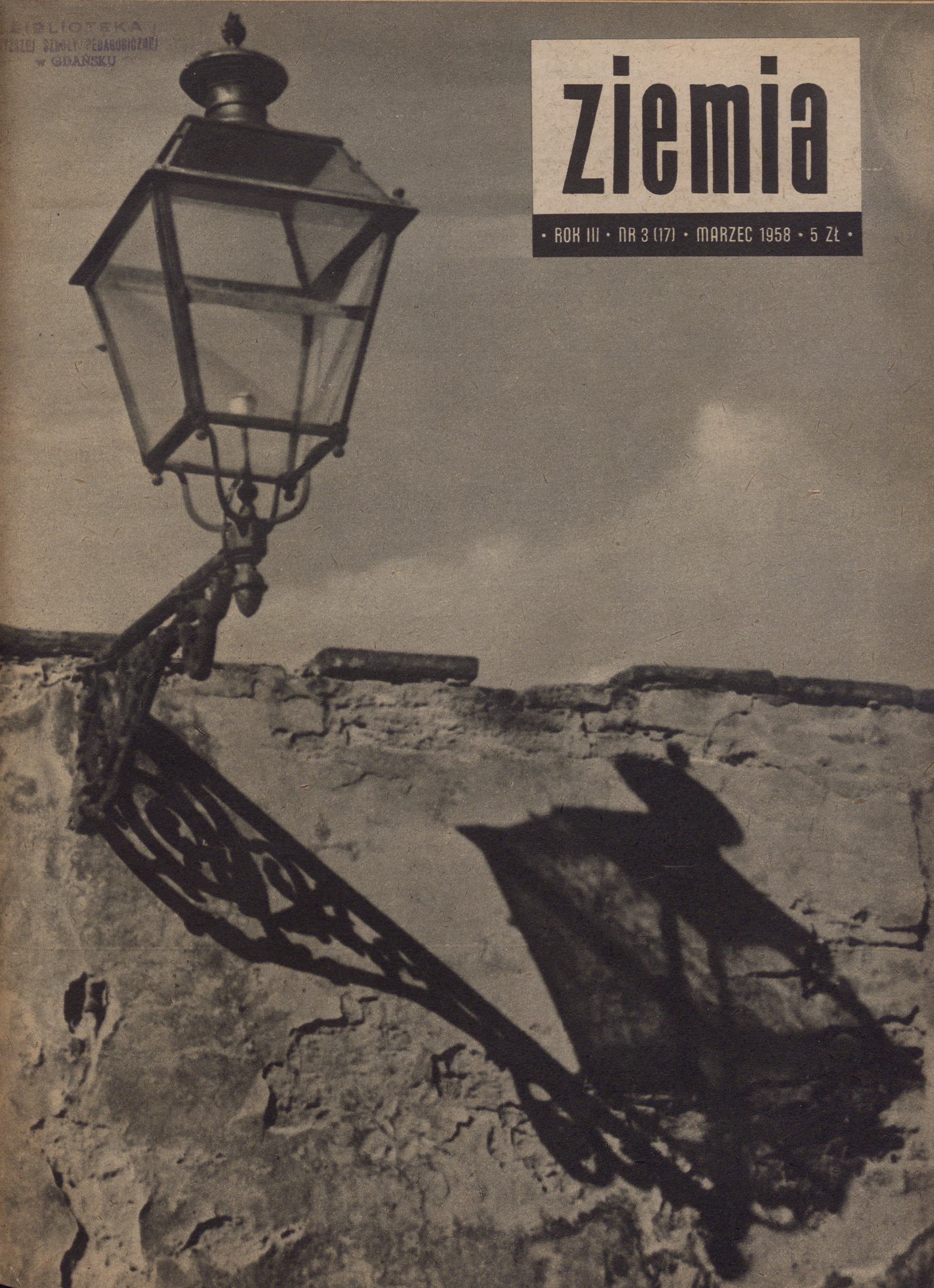


BIBLIOTEKA
NAUCZYCIELI SZKOL PEDAGOGICZNEJ
W GDANSKU

ziemia

• ROK III • NR 3 (17) • MARZEC 1958 • 5 ZŁ •



JANUSZ BOGDANOWSKI	O nurkach starodawnych	2
TADEUSZ CHRZANOWSKI	Dwa żeńskie klasztory	5
WIATRAKI	7
ANDRZEJ WYSZKOWSKI	Tragedia mieszkańców puszczy	8
MARIA PRZEŹDZIECKA	Radomszczański Zagłoba ludowy	9
LESZEK DZIĘGIEL	Zabawki	10
DAWNE DRUKI	13
JAKUB ANTONIUK	Tajemnica „Diabelskiego stawu”	13
SZCZĘSNY FRĄCKOWIAK	Chłopska nekropolia	15
ZBIGNIEW ŁAGOCKI	W cieniu zabytków	16
JANUSZ BOGDANOWSKI	Szpital staropolski	19
DAWNE POCZTY	22
MARIAN KORNECKI	Kościół na sprzedaż	22
ORLI LOT	24
ANDRZEJ ŁASZCZYŃSKI	Kotlina dwunastu szczytów	26
RECENZJE	27
TOMASZ CHLUDZIŃSKI	Przypominam Węgrów	28
KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ	30

NASZA OKŁADKA

przedstawia uliczną latarnię w zaułku jednego z włoskich miasteczek. Autorem zdjęcia jest Wacław Nowak. Jego reportaż fotograficzny z Włoch znajdziecie na str. 30 i 32.



ziemia

— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — MACIEJ KUCZYŃSKI, red. działów — MARIAN KORNECKI i LESZEK DZIĘGIEL, red. techniczny — ZYGMUNT STRYCHAŁSKI. Adres redakcji: Kraków, Basztowa 6, tel. 541-44. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE. Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Zam. nr 143/58. S-91. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

Liczby na mapie oznaczają numery stron, na których piszemy o danej okolicy



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100211) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych.

Państwowe Wydawnictwo Naukowe, W-wa, Krakowskie Przedm. 79 przyjmuje wpłaty DO 25 KAZDEGO MIESIĄCA na miesiąc następny i dalsze. Konto PKO dla wpłat 1-6-100214. Cena prenumeraty (zarówno „Ruchu” jak i PWN) kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować na-

sze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPZEDNIE NUMERY ZIEMI

można nabywać we Wzorcowni Państwowego Wydawnictwa Naukowego w Warszawie, Miódowa 10, a także w sklepach prasy antykwarecznej „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie pod tymi adresami lub w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarecznej

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii £ 0,2,3, rocznie 1.8,9; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — £ A 0,2,7, rocznie 1. 10,7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miastkich i gorodskich Otdielach Sojuzpieczati” NRD — Zeitungsver-

triebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. 1, Ausl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupecvi Karvina II Doly tr. Cslow. Armady, 3) PZKO C. Tešin Gotvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne; Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatzaire) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Haifepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Littéraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleyme, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Falls Church 1, Virginia.

O NURKACH STARODAWNYCH



Półw zatopionych skarbów wg rysunku z końca XV w. (rękopis z Monaco)

Rysunek przedstawia pierwszy z wymienionych sposobów. Na drzeworycie włoskim z 1488 roku, widzimy skrzynię, będącą odmianą wodnego dzwonu. Rycina ta jest najstarszym w ogóle przedstawieniem sprzętu podwodnego. Na rysunku 5 widać fragment XV-wiecznego rękopisu z Monaco. Nurek posiada kaptur z rurą, której koniec, pływający po powierzchni wody, dostarcza mu powietrza. Dodać należy, że nad udoskoleniem tego sposobu pracował Leonardo da Vinci, wprowadzając zamiast jednej, dwie rury, służące do doprowadzenia świeżego i odprowadzenia zużytego powietrza. Pomysł ten jednak doczekał się realizacji dopiero w 300 lat później. Zastosował go w 1788 roku Klingert, jeden z wynalazców skafandra klasycznego w obecnym pojęciu. Trzeci wreszcie sposób podaje rysunek 6. Są to szkice Leonarda da Vinci (z lat 1488-97). Urządzenie na nich przedstawione polega na zabieraniu ze sobą pod wodę pęcherza z powietrzem. Pęcherz ten miał być umieszczony na piersiach (A). Dla przeciwwagi zaś na ramionach należało zawiesić kamienie (B). Leonardo w swych rozważaniach nie zapomniał również o broni dla nurka.

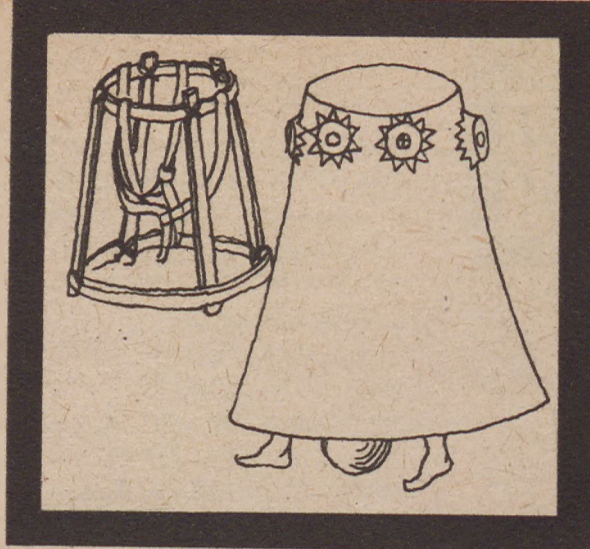


I jeszcze jeden szkic z „Xiąg Helmańskich”: Nurek z pęcherzem powietrznym na piersiach, połączonym z ustami rurą.

W okresie renesansu następuje dalszy rozwój „szaty wodnej”.

W XVI wieku, że znanych mi autorów, tylko Wegecusz Renata (Ars Militaris. Paryż 1532) zaleca korzystanie z pęcherza jako sposobu dostawy powietrza. Inni autorzy natomiast mówią z zasady jedynie o dzwonach wodnych, które coraz bardziej udoskonalają. Do nich należą Nicolo Tartaglia (1551), Francesco Marchi (1555), a wreszcie anonimowo dwaj Grecy prezentujący w obecności Karola V. w Toledo dzwon własnej konstrukcji.

Druga połowa XVI wieku i wiek XVII to niemal wyłącznie zastosowanie dzwonów do robót podwodnych. Są one już znacznie udoskonalone, czego dowodem może być „Wasserharnisch” Kesslera z 1616 roku. Otwory w jego górnej części mieściły grube szkła przeznaczone do obserwacji. Kula widoczna pod spodem służyła jako obciążenie dzwonu. Rysunek obok pokazuje stelaż wewnętrzny dzwonu, przeznaczo-



„Wasserharnisch” Kesslera z roku 1616

Nurek w „szacie wodnej” wg Borelliego. Na głowie pęcherz z powietrzem, opatrzony szybką i dwoma rurkami. W rękę przyrząd do regulowania wyporności. Na nogach pletwy (!)

ny dla człowieka. Sinclair w „Ars nova et magna gravitatis” (1665) opisuje dzwony użyte w 1588 i 1664 do wydobywania skarbów hiszpańskiej Armady. Prócz niego o dzwonach wodnych piszą Kacper Schot (Technica Curiosa 1664), Reptar (1617), Halley (1690) i wielu innych. Podobnie jak Wegecusz w XVI wieku stanowią w okresie popularyzacji dzwonu wyjątek, wskazując na użycie pęcherzy, tak w XVII wieku Diego Uffano (Archella, 1628) zaleca stosowanie kapturów z „kominkami” do wydobywania zatopionych przedmiotów, a Borelli (1679) pęcherza na głowę i pletwy.

Z początku XVII wieku mamy również ciekawe wiadomości o „szacie wodnych” w Polsce. Jedną z nich to wylądowanie dział z szwedzkiego okrętu „Solen”, zatopionego w bitwie pod Oliwą. Druga, to próby ze skafandrem konstrukcji słynnego marynarza i żołnierza Krzysztofa Ariszewskiego

Dopiero po tym krótkim przeglądzie „urinatorskiej sztuki” można próbować ocenić opisy Sarnickiego. Otóż widać jasno, że zna on wszystkie stosowane w tym okresie urządzenia do przebywania pod wodą. Opisy zaś jego i schematy są oryginalne i nie gorsze od innych publikowanych w tym czasie.

Tak więc wartość tych zawartych w „Xiągach” danych jest niezaprzeczalna. Na uwagę zasługują również wzmianki i opisy stosowania „szaty wodnych” w Polsce, oraz to iż Sarnicki pamięta o obronie pod wodą dając nurkowi do ręki halabardę. Sposób myślenia nieco naiwny, ale pomysł niepozabawiony słuszością. I wreszcie dwa zagadkowe rysunki



Sarnickiego podane bez objaśnienia. Jeden to prawdopodobnie sposób korzystania z powietrza zawartego w pęcherzu na piersiach, drugi natomiast jest zupełnie niezrozumiały. Może przedstawia jeszcze jeden nieznaną przyrząd do przebywania pod wodą?

JANUSZ BOGDANOWSKI

CO TO JEST HISTORIA SZTUKI ?

Z takim pytaniem przyszedł do mnie jeden z redaktorów „Ziemi”. Człek poważny, „za okularami”. Żeby odpowiedzieć. I to na piśmie — lżby wykrętów później nie było, że „ja przecież tego wcale nie powiedziałem!”. Obiecałem, że spróbuję.

No więc próbuję.

Pytanie w zasadzie proste. Odpowiedzieć można — nauka z kategorii humanistycznych, dotycząca dziejów świadomości artystycznej działalności ludzkiej w dziedzinie materialnej. Nasz pradziadek łupał mierzwi kawał krzemienia, aż wydobyl zeń użyteczny kształt: ostrze siekiarki lub grota. Archeolog będzie pieścił ów kamień, będzie się nim zachwycał jak kobieta koliaż z perłami. Historyk sztuki nie zajmie się dziełem naszego pradziadka. Wraz z owym ręką ludzką ukształtowanym

przedmiotem zaczyna się historia kultury materialnej, ale nie historia sztuki.

Dopiero wówczas, gdy pradziadek weźmie róg i wyryje na nim takie czy inne wzorki lub uproszczone, symboliczne przedstawienia ludzi czy zwierząt — wówczas zaczyna się sztuka, a za tym i jej dzieje.

Jest sztuka przez duże S i przez małe. Są panowie Leonardo, Rembrandt i Bernini. Są też anonimowe, w miarę koślawe rzeźby i obrazki po naszych kościołach i kapliczkach. I znowu graniczymy z historią kultury materialnej, z etnografią...

Jeżeli chłop wystawił sobie przed stu laty chatę a obok chaty chlewik — jest to dziś sprawą etnografii. Lecz skoro nadal tej chacie pewien świadomy kształt architektoniczny, np. ukształtował ozdobił dach, oszalał dekoracyjnie szczyt, okap wsparł na podcieniu a w lżbie na fazowanym tragarzu wyciął rozetę i napis — już i historyk sztuki będzie tu mógł wtrącić swoje trzy grosze. Historia sztuki to nie tylko sprawa artystycznego wymiaru zjawiska, choć artystyczny wymiar zjawiska jest jednym z podstawowych jej zagadnień.

Na postawione w tytule pytanie można odpowiedzieć jeszcze i w ten sposób: jest to przedmiot którego nie ma w programie polskich szkół podstawowych ani w liceach.

To symptomatyczne. Jesteśmy narodem rozmiłowanym w swojej historii. Zapewne mniej niż Francuzi — ale też. Tylko że historię na codzień — tę historię z którą styka się niemal każdy Polak, mamy dość dziwną. Trochę abstrakcyjną (z faktami związek nieraz nader luźny), silnie spowinowaconą z... pragmatyzmem (użyteczna, bo w niewoli pocieszca), a w ogóle wyrosłą z tradycji „wleczorów pod lipą”. W rezultacie w pojęciu przeciętnego obywatela sztuką jest i Wawel z grobami królewskimi i Matejko z Hołdem Pruskim i dąb pod którym siedział Kazimierz Wielki lub Kościuszko. A przecież w rzeczywistości do sztuki nie zalicza się ani nóż wiszący na Sukiennicach, ani żebro mamuta u wejścia do wawelskiej katedry, ani nawet kamienna płyta baptysterium odkryta w poznańskiej katedrze. Sztuką natomiast jest: drewniany dworek z mansardowym dachem w którym nie nocował Napoleon wiejąc spod Moskwy i pewna ilość drzew pod któ-

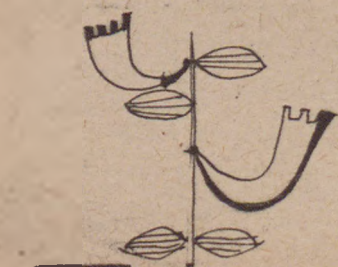


rymi nie siedział żaden narodowy bohater, ale które zostały świadomości, wedle ludzkiej woli zorganizowane w pewien układ określany mianem parku.

Spojrzenie na sztukę przez pryzmat historii jako takiej może prowadzić do zasadniczego pomieszenia kryteriów. Oczywiście — polskim historykom sztuki brak nieraz podstawowych wiadomości z zakresu historii — a tego w żaden sposób pochwalić się nie da, natomiast trzeba pamiętać że nie metryka zabytku, ale metryka wartości artystycznej jest zasadniczą miarą w nauce, o której mówię.

Przejdźmy teraz do historii sztuki jako nauki. Rozpatrując metody i cele dość można do takiego, najogólniejszego schematu:

Faza pierwsza: ustalenie chronologii (czasu powstania), autorstwa,





DWA ZEN SKIE KLASZ TORY NAD BAŁ TYKIEM

TADEUSZ CHRZANOWSKI

U góry: sklepiony krużganek klasztorny w Żarnowcu. U dołu: św. Piotr odcina Malchusowi ucho — fragment malowidła na antwerpskim ołtarzu w Żukowie



MATERIAŁ PUBLIKOWANY PO RAZ PIERWSZY

Ziemia

Osadnictwo i kolonizacja, zakładanie nowych miast, wsi, grodów czy klasztorów wiąże się najściślej z drogami handlowymi, z arteriami rzek, z obszarami urodzajnych gleb. Na Pomorzu Gdańskim główną arterią jest Wisła i wzdłuż jej koryta grupują się najdawniejsze ludzkie osiedla. Od nich dopiero — w miarę upływającego czasu, szły wyprawy osiedleńcze w głąb okolic pokrytych w średniowieczu trudno dostępną puszcza. W owe mniej ludne, leśne okolice szli nie tylko chłopi-kolonizatorzy, w ślad za nimi podążały również zgromadzenia zakonne. Na wschód od Wisły Krzyżacy, jako organizacja zakonna, nie dopuszczali zbyt chętnie innych zgromadzeń, toteż klasztory pomorskie grupują się raczej na zachód od biegu rzeki jak np. Oliwa, Kartuzy, Pelplin, a także dwa klasztory żeńskie: Żukowo i Żarnowiec. Jest wiele podobieństw w historii i wyglądzie zabytków związanych z owymi zgromadzeniami.

Jeśli chodzi o Żukowo i Żarnowiec, to oba klasztory powstały niemal równocześnie — z początkiem wieku XIII, największy rozkwit przeżyły do chwili, gdy reformacja poczęła burzyć w tych stronach stary ład, a przetrwały do początku wieku XIX, do chwili kasaty. Dziś jedynie w Żarnowcu napotkamy czarne habity siostrzyczek, zwanych niegdyś „gospodyniami polskiego morza”. Aby wyjść poza naukową oschłość danych historycznych, pozwolę sobie zacytować urzędowego plotkarza polskiej przeszłości Stanisława Wasylewskiego, który w książce pt. „Klasztor i Kobieta” (wydanej w r. 1923 a ostatnio wznawionej przez Wydawnictwo Literackie) wiele miejsca poświęcił obu pomorskim klasztorom. A więc o Żuko-

określenie treści i kształtu, innymi słowy: formy. A więc: OPIS.

Faza druga: bliższe określenie poszczególnych zabytków względnie ich grup — to znaczy ustalenie związków, wpływów, stopnia odrębności. Najogólniej: ustalenie przebiegu zachodzących w treści i formie omawianych dzieł. A więc: ANALIZA.

Faza trzecia: teraz historyk sztuki stara się opisać i przeanalizowane zjawiska ująć w całość, wykryć tendencje rozwojowe — krzywą ewolucji zarówno ideowej jak i formalnej. A więc: SYNTEZA.

Nie zapominajmy jednak o słoni, ergo: jak wygląda historia sztuki w Polsce. Posługując się powyższym schematem spróbujmy powiedzieć coś niecoś o własnym podwórku.

Faza pierwsza: trzeba stwierdzić, że historia sztuki w Polsce wciąż jeszcze chodzi trochę po omacku, a to z tej prostej przyczyny, że faza pierwsza jest od lat co najmniej pięćdziesięciu wciąż jeszcze w powijakach. Tą fazą pierwszą jest u nas Katalog Zabytków Sztuki w Polsce, którego tomy ukazują się w zaiste złotym tempie. A tymczasem jest to podstawa wszelkich prac badawczych. Czym jest ten katalog? Określiłem go kiedyś jako książkę telefoniczną zabytków. Jest to na zasadzie topograficznej ułożony spis teoretycznie wszystkich zabytków za wyjątkiem: ruchomych dzieł sztuki znajdujących się w posiadaniu prywatnym, oraz zbiorów zawartych w muzeach — te ostatnie omawiane są w odrębnych muzealnych katalogach. Ów katalog czyli spis posiada: określenie czasowe obiektu ewentualnie jego autorstwo, a poza tym zwięzły opis, a nadto ilustracje. Natomiast nie posiada żadnych ocen, że coś jest ładne lub brzydkie (podstawowe — jak wiadomo — kryteria estetyczne), nie robi żadnych porównań, nie wyciąga żadnych wniosków. Powiada po prostu: W miejscowości X znajduje się w kapliczce rzeźba. Pochodzi z takiego czasu, jest dziełem takiego a takiego artysty i wygląda tak...

Faza druga: Tę fazę określa się często zjadliwie mianem „przyczynkarstwa”. I wykpiwa się gościa, że napisał rzecz pod tytułem: „Guzik ze stroju koronacyjnego króla Jagielly, a puzderko z kości słoniowej w posiadaniu baronowej Brajtszwanc”. Tego rodzaju kpiny to oczywisty objaw nadkwasoty. W rzeczywistości faza druga, podobnie jak pierwsza to faza szarej, nie dającej pola do zbyt wielkiego naukowego popisu pracy podstawowej. U nas „przyczynkarstwa” w historii sztuki jest najwięcej, bo w pewnej mierze zastępuje braki fazy pierwszej przygotowując fazę trzecią. Jak wspominałem jest to faza syntezy. Naturalnie może być synteza większa i mniejsza. Może dotyczyć zarówno sztuki jakiegoś kontynentu czy narodu, może dotyczyć pewnej epoki a nawet pewnej grupy zabytków czy też dzieł jednego artysty. W pewnym sensie nie chodzi tu o zakres tematu ale o sposób jego ujęcia. Synteza może być zresztą dokonywana z rozmaitych punktów widzenia, posługiwać się może rozmaitymi założeniami, dotyczyć więc np. może: przemian formalnych albo zawartości ideowej (nie mylić z ideologią!). Dla nas podstawową syntezą byłaby historia sztuki polskiej (a słuszniej formułując: w Polsce).

* Ale takiej właśnie historii sztuki w naszym kraju nie ma. Wyznawcy „złotego środka” mogą sobie ten stan chwalić: faza pierwsza nie ukończona, fazy trzeciej nie ma, ale faza druga rozrośnięta do potężnych rozmiarów. W tym wypadku nie jestem zwolennikiem „złotego środ-



Ziemia

wie: „...książę pomorski Mszczuj- chcąc jako inni kajać się jednemu Bogu, prosi by i jemu nieco takowych młodek święconych (norbertanek) posłać. Obiecał w r. 1210, że da im wolność i pożytki na siołach i jeziorach aż do granic grodu gdańskiego i grzywien 40 z karczem gdańskich. Więc opat Adolard wziął z Wrocławia tuzin siostrzyczek śpiewających z magistrą Lackiego rodu Dzdzisławą (zm. 1220) i powiódł je z sobą daleko na Kaszuby w przyjemną dolinę Żukowa”. Dodać tu wypa-! da, że wg Słownika Geograficznego Żukowo już w r. 1201 było wzmiankowane jako posiadłość norbertanów, a tradycja wiąże powstanie klasztoru z księciem Mestwinem. Początki były ciężkie — w r. 1224 nastąpił napad pogańskich Prusów, którzy wymordowali dziesięć zakonnic. Klasztor jednak rozwijał się nadal, „trudził się warzeniem soli w Kołobrzegu, nadto od młynarza z Chmielna brał każdego drugiego węgorza z jazu, książę pomorski Sambor przysyłał księni 10 koszy miodu corocznie, zaś księżniczka Swiniława wspomagała żukowskie panny dziesięcioma grzywnami srebra” (Wasylewski). W późniejszych czasach przy klasztorze powstała pensja, do której szły nie tylko dziewczęta, lecz również i chłopcy z zamożniejszych domów pomorskich. W roku 1433 klasztor został spalony przez husytów. Być może jakiś inny pożar nawiedził Żukowo i w końcu XVI wieku, lub też stan kościoła był ciężki, dość że w r. 1604 podjęta została gruntowna restauracja świątyni, przy czym na miejsce pierwotnych gotyckich sklepień położono sklepienia kolebkowe.

I znów oddajmy głos Wasylewskiemu: „Ponad wszystkimi atoli porastały pierzem panny cysterki w Żarnowcu. Gdy w r. 1219 książę pomorski Świętopełk darował cysterkom wieś Żarnowiec wraz z rzeczką Klesznicą i jeziorem Piaśnicą, mniszki ujrzały się paniami brzegu morskiego i odtąd codzien fale Bałtyku widziały biały habit cysterski zakonniczy szepczącej w kaszubskim narzeczu Zdrowaśki. Wśród Kaszubów, Lutyków i Pomorzan, pod łapczywą i zachłanną pięścią krzyżackich komturów dochowała się wierne polskość panien żarnowieckich. Świadczą o tym polskie imiona siostr w starych menologiach. Cieszyły się szczególną opieką wszystkich księząt pomorskich przez cały w. XIII. Miały prawo wszelkiej w morzu rybitwy. Władaly Bałtykiem od Sosnowej Góry do łanów Odargowa, które nadał im książę Mestwin w r. 1277, potem wieś Widowo nabyły... Papież opiekował się nimi, król Przemysław wziął je w r. 1295 pod swoją opiekę, z królem czeskim Wacławem, nawet z wielkim mistrzem krzyżackim żyły w dobrej zgodzie. A gdy wieki upłyną długie, król polski Zygmunt Stary aż z krakowskiego Wawelu list napisze i panny żarnowieckie pochwali, powiadając jako stałością swą i wiernością dla Bożej i królewskiej korony wszystkim przykładem świeciły”.

Złe się zaczęło dzieć w żarnowieckich murach dopiero w w. XVI, gdy wcisnąć się poczęły do kraju nowinki luterskie. „Początek spustoszenia klasztoru od wygód ciała się zaczął. Rozruchy przysły, niepokoje wewnętrzne i w obyczajach rozprzężenie” — stwierdza kronika, cytowana przez Wasylewskiego. I twierdzi on, jakoby w końcu XVI w.: „W klasztorze zostały tylko trzy siostrzyczki, które w wielkiej rozpuście żyły, wyprawiając z mężczyznami rozmaite zabawy czyli igrzyska. Wesołą przeoryszą figlarnej trójki ogłosiła się s. Zofijka Klińska, rodu szlachetnego, ciała udatnego”.

Na własne oczy — mówi Wasylewski — widzieli tam ludzie czarne msze i sabaty. Ks. kanclerz z Żukowa zapisał, jak było: „Szatani — powiada — w strasznych maskarach ukazywali się tam, biorąc na się podobieństwo z bestyj rozmaitych i okrutnych, a też ogniste płomienie wypuszczali z paszcze, z oczu i z uszu nie bez wielkiego przestraszenia, co tam bywali i patrzeni”.

„Dopiero po dwu dziesiątkach lat — ciągnie autor eseju — wielbna księni Mortęska, znamenita pogromczynie odszczepieństwa w klasztorach żeńskich, wiosną roku 1591 uporała się z Żarnowcem. Dekretem biskupim złożono z urzędu Zofijkę, na przeoryszkę zaś naznaczono bogobojną siostrę Barbarę Małowieską.

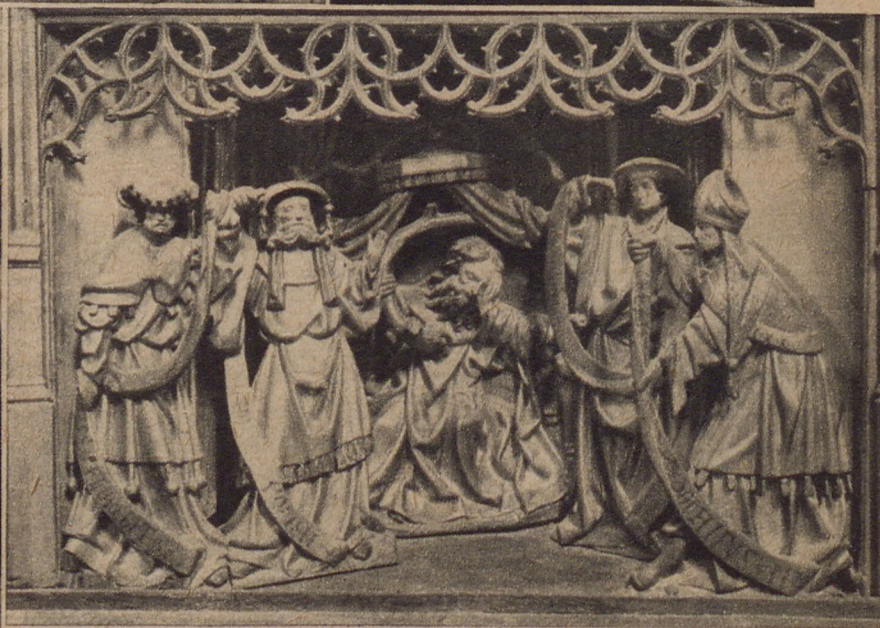
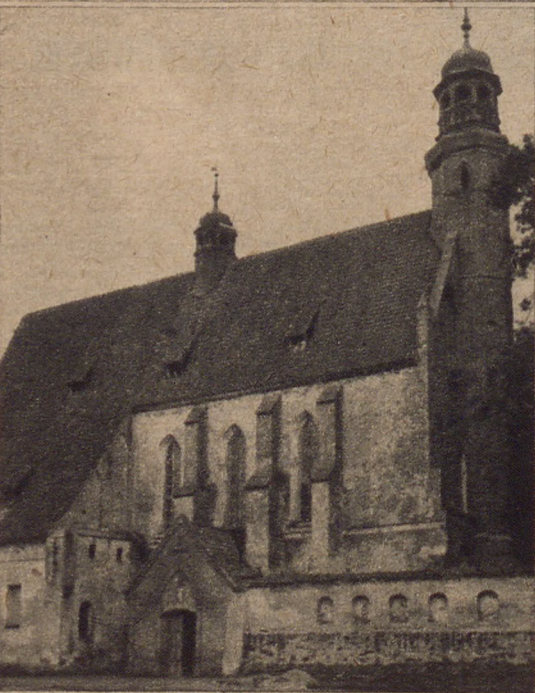
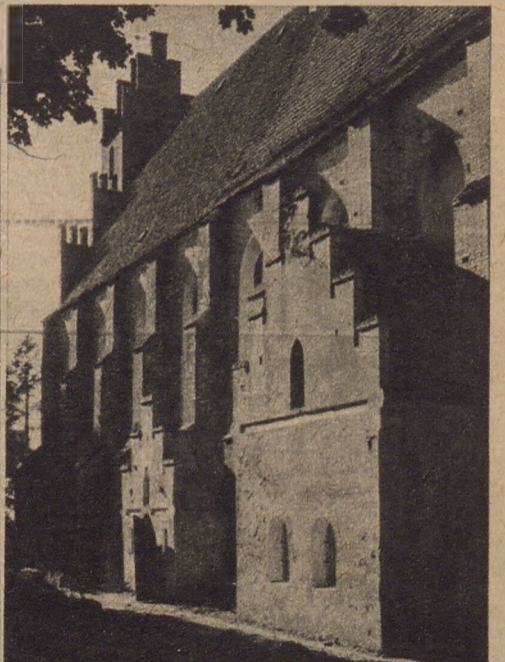
W przyzwoitej asyście mniszek starszego wieku podążyła nieboga nie bez strachu na urząd, wiedząc, że czeka ją przeprawa trudna z mocami piekielnymi. Ufne w pomoc Belzebuba towarzyszyki Zofijki postanowiły się bronić do upadłego. Już pierwszego wieczora nakładły nieproszonym gościom „czarów w posciel, aby spać nie mogły”. Nazajutrz zaszyły im jadowitych „ziół w habity”. Na piecu ziemnym „gdzie się nasze grzały” położyły szalwę i inne takie gusa. Potem, gdy wszyscy usnęli, podeszła cichcem siostra

klasztorne zostały częściowo zburzone. Większa ich część zachowała się w Żarnowcu z dużym fragmentem gotyckiego krążanku, w Żukowie tylko jedna sala wsparta na kamiennym słupie przypomina dawną świetność. Natomiast dobrze zachowały się obie świątynie. I tu znów odnajdujemy analogie: oba kościoły powstały zapewne w początkach w. XIV, gdyż pierwotne zabudowania wzniesione były niewątpliwie z drzewa. Reprezentują typ często spotykany wśród budowli zakonnych na pomorzu gdańskim (Kartuzy, Tczew): są to obszerne, dość dużych wymiarów budowle salowe — to znaczy z prezbiterium nie wyodrębnionym z korpusu, nakryte jednolitym pięknym sklepieniem gwiaździstym. Od zachodu na osi wąska lecz dość wysoka wieża — w Żarnowcu jest ona kwadratowa i zwieńczona szczykami, w Żukowie natomiast osmiobocz-

pomorskie kościoły. Obfitują również w zabytki rzeźby gotyckiej. Gdy dodać tu jeszcze tkaniny, oraz późniejsze, renesansowe i barokowe ołtarze, obrazy, w ogóle całe wyposażenie wnętrza — otrzymamy obraz nieprzeciętnych zespołów zabytkowych na tym stosunkowo niezbyt bogatym w zabytki obszarze.

Nie sposób pisać o wszystkim. To też szczególną uwagę chciałbym zwrócić na niektóre zabytki gotyckiej i renesansowej snycerki. W Żarnowcu zachowały się więc m. i. dwa posągi Matki Boskiej z Dzieciątkiem (jeden tronuący), pochodzące z początku w. XV. W niszach umieszczonych pod wspornikami sklepienia znajdują się ponadto 4 posągi Świętych Niewiast, stojące na ozdobnych kroksztynach, obramione skromną dekoracją o charakterze wici roślinnej, malowaną na ścianie. Rzeźby te K. H. Clasen w swej wielkiej mono-

Przrzej: poklon Trzech Króli. Ta alabastrowa płaskorzeźba przywieziona została do żukowskiego kościoła prawdopodobnie z Anglii. Okok: fragment klasztornego kościoła w Żarnowcu



Powyżej: „Drzewo Jessego”, alegoryczne wyobrażenie genealogii M. Boskiej — fragment z antwerpkiego ołtarza w Żukowie. Okok: kościół w Żukowie

Zofijka pod celę siostry Barbary i tamże „pod progiem uczyniła smrody bardzo zaraźliwe”. A gdy siostra Barbara wedle obyczaju swego o północy na jutrznię wstała „świeca jej zgasła i już ognia skrzesać nie mogła, choć się o to kilka godzin kuśiła. A kiedy na dół po ogień zniżyć chciała, to jakby jej kto oczy zasłaniał, albo siłą odciągał. I dobrze się stało, że nie zesła. Bo wydało się później, że „tam był u drzwi na dole nastawiony chłop z naczyniem do zamordowania siostr naszych, jeśliby która zesłała na dół”.

Ostatecznie jednak porządek został w Żarnowcu zaprowadzony. Znikły zeń jednak dawne jego gospodynie cysterki ustępując miejsca benedyktynom przysyłanym przez biskupa kujawskiego Rozdrażewskiego z Chełmna.

W r. 1834 nastąpiła kasata obu klasztorów, poczem zabudowania

na i nakryta późniejszym ażurowym hełmem. W Żukowie też, na skutek wzmiankowanej powyżej restauracji z r. 1604 oraz ze względu na bogactwo wyposażenia zatarty został pierwotny specyficzny charakter wnętrza zamykającego się w jednolitej przestrzeni: bogaty chór zakonny wysuwa się w głąb nawy, ogromny, bujny porenansowy ołtarz główny przytłacza swymi wymiarami przestrzeń prezbiterialną, a belka tęczowa o wymyślnej, falistej linii, pełna figur sceny pasyjnej, wydziela — przynajmniej pozornie — część kapłańską.

O dawniejszym bogactwie obu kościołów możemy mieć tylko wyobrażenia na podstawie danych historycznych. Nie mniej do dziś zachowało się i w Żarnowcu i w Żukowie wiele bezcennych pamiątek. Szczególnie w piękne okazy renesansowego złotnictwa bogate są owe

grafii gotyckiej plastyki Pomorza (wg zasięgu dawnego państwa krzyżackiego) datuje na schyłek XIV w. Posągi te patronujące kościołowi spod bujnie rozpiętego sklepienia dają nam wyobrażenie o pierwotnym wyposażeniu świątyni.

O wiele ciekawiej przedstawiają się zabytki Żukowa. Są to przede wszystkim: wielki Krucyfiks, płaskorzeźba z pokłonem 3 Króli oraz dwa tryptyki. Ponadto znajduje się tam jeszcze szereg innych rzeźb pochodzących przeważnie z okresu około 1500. Najszacowniejszym pod względem wieku zabytkiem jest krucyfiks łączony przez Clasena z kręgiem tzw. „Madonn na lwie” (najbardziej typowe przedstawienie dla okresu stylowego przypadającego na drugą połowę XIV w.). Akt tego na pół mistycznego Ukrzyżowania ukształtowany jest dekoracyjnie przez ekspresyjne podkreślenie żeber, a

perizonium (opaska na biodra) opada w dwu ciężkich, bogatych kaskadach fałd. Dziwi mnie natomiast datowanie alabastrowej płaskorzeźby z pokłonem 3 Króli na początek XIV w. Clasen jest zbyt wytrawnym znawcą, bym odważył się zaprzeczać jego ocenie, lecz gdy ujrzałem ową scenę uderzyła mnie w niej archaiczność zarówno formalna, jak i ikonograficzna w zestawieniu z okresem, w którym panował przecież tzw. „styl pięknych Madonn”, najsubtelniejszy styl gotyckiej plastyki. Inna sprawa, że owa płaskorzeźba jest przypuszczalnie importem: Anglia specjalizowała się podówczas w rzeźbach alabastrowych, „chodliwych” jak byśmy dziś powiedzieli na rynkach zagranicznych, dokąd dochodziły za pośrednictwem hanzeatyckich kontaktów handlowych.

Dalszym bardzo cennym zabytkiem jest niewielki tryptyk z r. 1515 stojący stylowo na przecięciu dwóch epok: gotyku i renesansu. Znany jest ów tryptyk pod mianem „tryptyku Mestwina” — nazwa ta jest jednak oczywiście wytworem legendy wiążącej rzeźbioną postać rycerza umieszczoną w środku szafki z postacią owego pomorskiego księcia. W rzeczywistości jest to posąg świętego, któremu jednak w ciągu wieków utracono atrybut.

Najwspanialszy jednak skarb Żukowa, to tzw. tryptyk antwerpski. Nazwa to względna. Nie jest sprawzone, czy istotnie owe dzieło renesansowej (mimo gotyckich reminiscencji) snycerki powstało w Antwerpii. Nazwa ta określa jednak charakter — jest to dzieło importu i znowu mamy do czynienia z handlową działalnością Hanzy, która niderlandzkie ołtarze rozwoziła do innych krajów (nota bene podobny, importowany tryptyk był do 1945 r. w kościele w Pruszczu Gdańskim, zaś w kościele Mariackim w Gdańsku znajdował się ołtarz św. Reinholda, którego skrzydła malował malarz antwerpski Joos van Cleve).

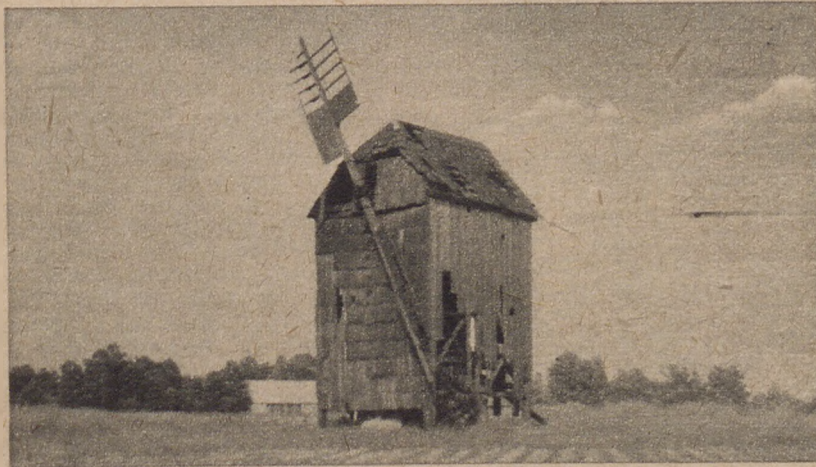
Szafę tryptyku antwerpskiego, wymyślnie ukształtowaną (przypomina właściwie dwa tryptyki umieszczone jeden nad drugim) wypełnia gąszcz rzeźb. Ileż spraw dzieje się wśród gotyckich jeszcze fiał i laskowań! Cały cykl pasyjny i częściowo maryjny pomieścić się w kwaterach szafy, a nawet wplątany został w strukturę architektoniczną: na ciasnych konsolach dzieją się jeszcze jakieś „kameralne” sceny. Sceny główne — z Ukrzyżowaniem w środku — są ludne, teatralne, mieniące się głębokim tonem złota, spiętrzone w dramatycznym napięciu. Zachwycają jednak głównie techniką wykonania — nie są to bowiem sceny głęboko odczute, daleko im do stwoszonej ekspresji — jest to raczej przedstawienie, jakaś średniowieczna „chanson de geste”.

Z ruchliwością i drobiazgowością rzeźb kontrastują skrzydła pokryte malowidłami typowymi dla niderlandzkiego manieryzmu pierwszej połowy XVI wieku. Tu kompozycje figuralne mniej stłoczone mieszczą się w przestrzeni prowadzonej w głąb „romantycznymi” krajobrazami pełnymi drzew i dziwacznych skał. Wśród ekspresyjnych ruchliwych scen dostrzegamy np. kapitalną grupę św. Piotra obcinającego ucho Malchusowi: karykaturalne, drapieżne potraktowanie tematu przywodzi nieodparcie na myśl i Boscha i Breughela, leży całkowicie w linii rozwojowej malarstwa Niderlandów. Po zamknięciu skrzydeł (dolnych i górnych) ukazuje się rozbudowana na wszystkie kwatery ludna scena zesiłania manny. Wśród ciężkich od zieleni drzew prężą się w dziwacznych pozach strojne damy i mężczyźni kolorowi jak koguty.

Nie sposób pisać o wszystkim co zatrzymuje wzrok w kościele żarnowieckim czy żukowskim. Nie jest to przecież inwentarz, lecz jedynie garść wrażeń z wakacyjnych wędrówek. I nie tylko miłośników „starożytności narodowych” chciałbym zachęcić do zwiedzenia obu miejscowości. Powinien tam wybrać się każdy, do kogo przemawia krajobraz, kogo pociąga urzekająca taśma szosy.



O S T A T N I W I A T R A K N A Z I E L O N Y M Ś L ą S K U



Wiatrak w Grzawie (pow. pszczyński). Fot. M. Kornecki

I L E B Y Ł O W I A T R A K Ó W P R Z E D W O J N ą ?



Wiatrak w Turkowicach (pow. hrubieszowski). Fot. T. Chrzanowski

DOKOŃCZENIE C O T O J E S T H I S T O R I A S Z T U K I ? Tadeusz Chrzanowski



Wśród pól, zdala od zwartej wiejskiej zabudowy, wznosi się samotny wiatrak. Obecnie jest to już raczej ruina: szalowanie ścian zniszczone, dach gontowy dziurawy, skrzydła połamane, wnętrze, do którego wspiąć się trzeba po wybrakowanych stopniach, straszny opuszczeniem.

Wydawać by się mogło, że obiekt nie jest godny większego zainteresowania. A jednak, wiatrak w Grzawie (powiat pszczyński), jest ostatnim zabytkiem swego regionu, a być może ostatnim wogóle wiatrakiem na Górnym Śląsku.

Reprezentuje on typ, zwany popularnie „koźlakiem” (wiatrak drewniany, obrotowy w całości), występujący dawniej najliczniej na terenie Polski. Od zachowanych jeszcze na innych terenach, pokrewnych obiektów różni go okrągła ceglana podbudowa, być może dodana później. Podbudowa ta posiada niewielkie otwory, przez które wysunięto na zewnątrz belki podpierające konstrukcję. Szkielet drewniany konstrukcji słupowej zachował się stosunkowo w dobrym stanie, również przetrwały resztki dawnego mechanizmu, w tym olbrzymie koło palczaste z drewnianymi trybami, przenoszącymi energię potrzebną do uruchomienia żaren.

Wiatrak należy do najstarszych datowanych istniejących jeszcze obiektów tego rodzaju: rok budowy 1821 wycięty jest na jednej z belek konstrukcji. Czynnym był jeszcze w czasie okupacji. Jakimś szczęśliwym trafem, chociaż zniszczony, istnieje do dnia dzisiejszego. Ale jeśli nie przyjdzie wnet jakaś pomoc i jakaś ochrona — zniknie bez śladu i pamięci, bliżej niepoznany i niezinventaryzowany, ostatni wiatrak z pól „Zielonego Śląska”.

M. K O R N E C K I

Komisja Wykorzystania Energii Wiatru przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Elektryków Polskich nadesłała nam ciekawą informację, dotyczącą liczby istniejących przed ostatnią wojną wiatraków młyńskich w Polsce. Ilość ich (oczywiście w ówczesnych granicach państwa), według danych opublikowanych w r. 1928 w pracy A. Dzika pt. „Młynarstwo w Polsce”, przedstawia się następująco:

Województwo białostockie 327, kie-

leckie 460, krakowskie 5, lubelskie 703, łódzkie 1346, pomorskie 242, poznańskie 1284, śląskie 1, warszawskie 1206.

Po trzydziestu latach, mimo braku aktualnej ewidencji łatwo można stwierdzić, że stan ilościowy istniejących jeszcze wiatraków nie sięga nawet dziesiątej części dawnej liczby. A obiekty istniejące, znajdują się przeważnie w stanie opuszczenia lub ruiny.

ka”. Uważam, że historia sztuki w Polsce powinna się jak najszybciej ukazać. Niech nawet będzie niepełna i błędna w szczegółach a nawet we wnioskach ogólnych. Postęp w nauce objawia się w nieustannym przewartościowaniu, ale po to by wartościować — trzeba mieć podstawę, trzeba mieć punkt wyjścia. A trudno przecież zaczynać od „guzika ze stroju koronacyjnego itd...”

Na tak ogólne pytanie, na jakie nieudolnie staram się odpowiedzieć, można rozpisywać się bardzo długo. Można by pisać o kierunkach w nowszej historii sztuki, o zagadnieniach estetycznych — wszak estetyka to siostra historii sztuki. Nie miejsce tu jednak i nie pora.

Więc jeszcze tylko pro domo sua. No co tu dużo gadać: ani tu u nas Akropolu ani Chartres nie uświadczymy. Jakoś nam się Michały Anioły ani Breughle na kamieniu nie rodziły. W dziejach sztuki na świecie nie znamy nic lub prawie nic. Zabytków mamy niewiele, zabytków europejskiej klasy zaledwie kilka. Mamy Kraków, Gdańsk i Kazimierz oraz sporo ruin lub falsyfikatów. Mamy poza tym prowincję w dosłow-

nym i przenośnym sensie tego słowa. Wiem z własnego doświadczenia: zagranicznikowi nie mamy tak wiele do pokazania i z pewnością nasze małe, wielokrotnie przekształcone i nieozdobne katedry nie zrobią na nikim kto zna Europę — wrażenia. Zagranicznika, aby się wzruszył, trzeba zawieźć na Podhalę i pokazać drewniane kościółki lub chaty.

Straszę mnie bliźni — pójdziesz za granicę, zobaczysz tam taką architekturę, że później na to swojskie budownictwo nawet nie zechcesz spojrzeć. Nie wierzę. Pojechać za granicę — owszem, mam takie plany. Obejrzeć tam architekturę — naturalnie, właśnie zbieram się, aby zwiedzić opactwo westminsterskie i katedrę w Wells. Ale później wrócić i wyprawę się do Wólki Narodowej pod Przysłopem. I napiszę do „Ziemi” pełną zachwyty notatkę o modrzewiowym kościółku, który tam ponoć stoi.

Najważniejsze to — mierzyć właściwą miarą. I jeszcze: umieć należycie ocenić to co się samemu posiada. Bez nieusprawiedliwionego entuzjazmu i bez snobistycznego wzruszenia ramionami.

TRAGEDIA MIESZKAŃCÓW PUSZCZY

(11% w stosunku do zimy 1955/6) i dzików (9%). Jelenie i głuszcze natomiast utrzymują się jeszcze na tym samym poziomie. Ubytek sarn i dzików wiąże się z ostrymi mrozami na schyłku zimy 1956 r. oraz wzmogoną działalnością wilków, które się gwałtownie rozmnożyły. Według stanu na dzień 1. III. 1957 r. na terenie Rejonu Lasów Państwowych w Augustowie (53,000 ha — tj. 1/2 Puszczy Augustowskiej) żyje: jeleni byków 24 szt., jeleni łań 40 sztuk, sarn rogaczy 105 sztuk, sarn kóz 226 sztuk, dzików 189 sztuk, lisów 259 sztuk, głuszców 57 sztuk, wilków 29 sztuk.

Głuszcze należą w naszych lasach do ptaków ginących. A giną głównie na skutek przybierającej coraz gwałtowniejsze formy eksploatacji lasów. I tak np. przed wojną nie wolno było zakładać zrzębów, ani wywozić drzewa na wiosnę. W czasie tokowiska głuszców panował w lesie idealny spokój. Dziś nie zwraca się na te rzeczy w ogóle uwagi a ponadto dzisiejsi „myśliwi” nie zawsze przestrzegają okresów ochronnych. Nadmienić należy, że Puszcza Augustowska do chwili obecnej jest jedyną w naszym kraju ostoją niezdegenerowanej rasy głuszcza. Dziś jeszcze można obmyśleć środki zapobiegawcze zmierzające do ocalenia tego ginącego już w naszym kraju — „króla puszczańskich ptaków”. Jutro może już być za późno.

Znaczny spadek pogłowia dzików, jeleni i sarn w ostatnich latach spowodowało — jak już wspomnieliśmy — rozmnożenie się wilków i ostro zima 1955/56, ale także wzmogona działalność kłusowników. Z wilkami podjęto walkę i tak np. w wyniku akcji przeprowadzonej przez myśliwych zimą 1956/7 zabito na terenie Rejonu Lasów Państwowych w Augustowie 11 sztuk tych drapieżników. A jak radzimy sobie z ludźmi, którzy niszczą augustowski zwierzostan, z kłusownikami?

W roku 1955 na terenie nadleśnictwa Balinka jeden z tamtejszych kłusowników „upolował” ostatniego żyjącego w Puszczy łosia. W wyniku przeprowadzonej rewizji znaleziono u przestępcy tylko rogi i uszy zabitego zwierza. Jaką karę poniósł ów mieszkaniec wsi Krasne w gminie Lipsk, który dopuścił się tak szkodliwego czynu? Otóż okazuje się, że „ukarano” go grzywną 900 zł (podczas kiedy wartość samego tylko mięsa ubitego łosia — nie licząc wartości nie wymiernych — sięga-

ła 2000 zł) oraz problematyczny okres 42 dni pracy przymusowej w lesie. Analogiczne „kary” stosuje się za „skłusowanie” jelenia, dzika, itp. Jakie mogą być skutki tego rodzaju „kara” przestępców? Wręcz odwrotne od zamierzonego celu.

Spółdzielnia skupująca skórki zwierzęce w Augustowie zalicza do 1-ej klasy skórki zajęcy schwytych w sidła, płacąc za nie o 10 zł drożej, niż za skórki postrzelone strumem, zaliczane do klasy 2-ej. Pytanie — czy stosując taką politykę, nie popieramy świadomie kłusownictwa i nie przyczyniamy się do jego dalszego rozwoju. Jak informuje komendant straży leśnej Rejonu Lasów Państwowych w Augustowie p. Kondak, kłusownictwo rozwinęło się najintensywniej w południowo-wschodniej części puszczy i powiatu, na terenie dawnej gminy Lipsk, oraz Jastrzębna II. W samej tylko wsi Krasne 7 gospodarzy posiada nielegalnie broń. Nazwiska kłusowników znane były milicji i straży leśnej. Niestety ukrytej broni nie odnaleziono, a żadnego z ostrożnych kłusowników nie złapano na tzw. gorącym uczynku. W takich wypadkach nasze prawo (chyba ostatnie w Europie) jest wciąż bezsilne... Ba, co więcej dyrektor Rejonu Lasów Państwowych p. Szkodny oświadczył, że największymi kłusownikami w powiecie są dwaj „legalni” myśliwi ze wsi Ostrowie (nazwiska znane administracji lasów). Kłusownicy czerpią ze swej „działalności” olbrzymie dochody. Wielu z nich dorobiło się majątków na nielegalnej sprzedaży mięsa i skór upolowanych zwierząt. Milicja wykryła wprawdzie w ostatnim czasie kilka skór dzików we wsi Bartniki, jed-

nakże ani ona, ani straż leśna nie posiadają żadnych danych cyfrowych odnośnie kłusownictwa. Nie liczna, 12-osobowa straż leśna Rejonu Lasów Państwowych w Augustowie, poruszająca się w terenie na rowerach i furmankami, znajduje się pod czujną obserwacją miejscowych kłusowników i ich pomocników, którzy są nadal panami sytuacji i zwierzyni w lasach augustowskich. Ponadto z terenowej administracji R. L. P. (leśnictwa, nadleśnictwa) brak jakichkolwiek meldunków o kłusownictwie. Czyżby leśniczowie i gajowi nie dostrzegali kłusowniczych nadużyć? A może są przez nich w dalszym ciągu terroryzowani, tak jak w pierwszych latach po wojnie?

A oto co należy uczynić, aby poprawić istniejący stan rzeczy:

- zwiększyć zainteresowanie milicji nielegalnie posiadaną bronią oraz wypadkami kłusownictwa na terenach lasów państwowych,
- podnieść i bezwzględnie egzekwować kary za kłusownictwo,
- tępić wilki ze zdwojoną energią,
- obniżyć nadmierną eksploatację lasów, zwłaszcza w obrębie występowania rzadkich i płochliwych zwierząt (głuszcze),
- przydzielić straży leśnej szybkie środki lokomocji, np. motocykle,
- spowodować większą współpracę terenowej służby leśnej z milicją i ludnością cywilną w wykrywaniu przestępców (meldunki z nadleśnictwa, leśnictwa i gromad, akcja uświadamiająca w szkołach, zakładach pracy — odczyty, pogadanki, organizowanie kół. Ligi Ochrony Przyrody itp.).

ANDRZEJ
WYSZKOWSKI
FOT. J. CZECZ



Lasy Puszczy Augustowskiej od najdawniejszych czasów stanowiły ostoję licznych dzikich zwierząt. Wiele gatunków, występujących tu jeszcze w XIX w. wyginęło już bezpowrotnie. Mimo to i dziś jeszcze żyją nadal w augustowskich lasach zwierzęta, coraz rzadziej w naszym kraju występujące — jelenie, dziki, głuszcze, bobry.

Obecny stan pogłowia zwierzyny jest dziś w Puszczy Augustowskiej o około 50—60% niższy niż w roku 1939. Okazuje się, że przed drugą wojną światową w lasach augustowskich było znacznie mniej wilków, tępionych przez obławy łowieckie, natomiast o wiele więcej dzików, jeleni, sarn, głuszców itp. W nadleśnictwie Krasne (dzisiejsza Balinka) żyło w naturalnych warunkach na bagnistym uroczysku „Kozie Rynek” około 10 sztuk łosia. Ostatniego łosia na terenie Puszczy Augustowskiej zabili kłusownicy w roku 1955. Jakie przyczyny złożyły się na tak katastrofalne obniżenie pogłowia zwierząt w Puszczy Augustowskiej? Spróbujmy je wymienić po kolei: 1. Działania wojenne, 2. Nadmierna eksploatacja lasów, 3. Wzmogone kłusownictwo, 4. Rozmnożenie się wilków.

W ostatnim roku zaznaczył się szczególnie poważny ubytek sarn

PLATANY • PLATANY • PLATANY • PLATANY

W numerze 4 „Ziemi” Janusz Bogdanowski zwrócił uwagę na olbrzymie platan rosnący w parku w Chojnie. Do tych uwag chciałabym dołączyć kilka dodatkowych informacji.

Województwo szczecińskie jest obszarem, na którym platany występują w ilości niespotykanej gdzie indziej. W Szczecinie na alejach i placach rośnie kilkaset platanów. Tworzą one długie aleje względnie wielkie skupiska. Wspinałe aleje platanowe znajdują się na szczecińskich Jasnych Błoniach. W pięciu rzędach rośnie tutaj około 200 egzemplarzy tego drzewa. Jest to największe w Polsce skupisko, nadające sporo uroku tej części miasta. Również dużo platanów rośnie na wielkim szczecińskim cmentarzu centralnym oraz przy wielu ulicach.

Najpotężniejszy platan w Szczecinie znajduje się przy ul. Słonecznej w po-

bliżu zamku książąt pomorskich. Obwód drzewa na wysokości jednego metra wynosi 4,2 m, a na wysokości 1,7 m aż 4,7 m.

Należy zaznaczyć, iż w Szczecinie znajdują się ponadto szkółki platanowe. Z tych szkółek m. i. pochodzą 30-letnie platany, wysadzone w Warszawie na placu dokoła Pałacu Kultury.

Drzewa te spotyka się również na terenie całego województwa szczecińskiego w licznych parkach dworskich. Przyrodnicy jednakże zwracają szczególną uwagę na platany rosnące na nadmorskich wydmach. W parku w Międzyzdrojach, w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od brzegu morskiego rosną również potężne i stare platany będące atrakcją przyrodniczą tego kąpieliska.

NADESLAŁA
HELENA
WOJCZEWSKA
SZCZECIN

WYJAŚNIENIE

W grudniowym numerze ZIEMI artykuł o Starej Kuźnicy został zilustrowany m. i. schematycznym rysunkiem młota. Wyjaśniamy, iż przedstawia on nie młot w Starej Kuźnicy, lecz zasadę działania tego typu urządzeń w ogóle. Rysunek wykonała Zofia Tomaszewska.





MARIA PRZEŹDZIECKA

Ziemia MATERIAL PUBLIKOWANY PO RAZ PIERWSZY

Słotny i zimny październik redukował do minimum przyjemność odkrywania w terenie rzeczy nowych i ciekawych, w czasie naszej 6-dniowej podróży pod plandeką „Stara”.

Do wsi Dąbrowa Zielona w powiecie Radomsko przybyliśmy bez specjalnego entuzjazmu. Ale oto już w pierwszej chałupie, przykucniętej skromnie naprzeciw okazałej budowli kościoła, wszelkie zmęczenie przysto bez śladu. W niskim wnętrzu ujrzałam szereg drewnianych rzezb ludowych. Wykonał je mieszkający tu Jan Lamęcki. Były to: duży Chrystus Ukrzyżowany, św. Antoni i płaskorzeźbiony obraz Matki Boskiej oraz cały komplet figurek do szopki z kapitalnymi w ruchu Trzema Królami i bardzo trafnie uchwyconymi w swym uproszczeniu zwierzakami. Figurki te zresztą zakupiło później krakowskie Muzeum Etnograficzne.

Pomimo stosunkowo dużej rozpiętości w czasie wykonania poszczególnych rzeźb (1924—1954), posiadają one wszystkie jednolity styl i stanowią ciekawy przykład utrzymania przez rzeźbiarza swojej indywidualności. Co dziwniejsze, przykłady rzeźb kościelnych, które mógłby rzeźbiarz dowolnie kopiować, znajdują się dostojnie po drugiej stronie drogi. Poza tym, jak się okazało, Lamęcki nie należy do rzędu tych chłopów polskich, którzy znają zaledwie najbliższe miasteczko targowe i nie bywali zupełnie „w świecie”. Przeciwnie, jeździł dużo. Na rzeczy nowe umiał patrzeć i notować je skrzętnie w pamięci, aby potem, nawet po upływie długiego nieraz czasu, przenieść na karty swego pamiętnika. Pamiętnik ów, zawierający wszystkie ważniejsze wydarzenia z życia Lamęckiego, spisany w szeregu zeszytów, liczy obecnie 1218 stron. Lamęcki więc, to nie tylko uzdolniony rzeźbiarz ludowy. To również wiejski pamiętnikarz, rozwijający bardzo powoli lecz systematycznie swój talent opisowy. Ten drugi typ twórczości spotykamy wśród chłopów o wiele rzadziej.

Tekst pamiętników dowodzi nie tylko dużej dozy spostrzegawczości, lecz również igrasce staropolskiej fantazji autora.

Lamęcki urodził się w roku 1895 a jego pamiętniki rozpoczynają się datą 1903, a więc od jego 8-go roku życia. Nie są jednak pisane na bieżąco, gdyż autor mając 20 lat nie umiał jeszcze pisać. W ciągu swego dwukrotnego pobytu w Prusach skazany był na wysyłanie do domu listów kreslonych obcą ręką. Sztukę pisania przyswaja sobie dopiero po ostatecznym powrocie do kraju w 1918 roku, a pierwszą datą, kiedy pamiętniki już pisze, jest początek roku 1934. Technika pisania nie przychodzi mu łatwo. Pisze bez żadnych znaków przestankowych i zaczyna prawie każde słowo z dużej litery.

Ze wspomnień dzieciństwa dowiadujemy się stosunkowo mało. Wynika z nich jedynie, że zarówno „służbiści”, tak ojciec Lamęckiego, jak i mieszkańcy wsi położonych koło Koniecpola, poświęcają swój czas wolny uprawianiu rybactwa w pobliskiej Pilicy, by w ten sposób podreperować skromne dochody. W ślad za swym ojcem, „słynnym rybakiem”, chwytła za „wyn-dzisko” i 8-letni Janek. Udaje mu się nawet złowić 50-funtowego szczupaka. Wyczyn ten oraz — wkrótce potem wydobyć z dna stawu topiącej się młodszej siostry, której na darmo szukało kilku dorosłych chłopów, budzi w małym Janku zautanie we własne siły i powodzenie, co następnie staje się wspaniałą przewodnią prawie wszystkich rozdziałów pamiętnika. Bohaterem pamiętników pozostaje przez wszystkie prawie kartki wyłącznie on sam. To on w wieku lat 10 tak pokierował sprawami, że znalazł się na służbie u księdza Jasińskiego w Dąbrowie i uzyskał wysoką pensję 18 rubli miesięcznie. W wieku lat 14 (1909 r.) wybrał się już na pracę sezonową do Prus, przechodząc wraz z innymi 40 chłopami z Dąbrowy Zielonej i najbliższej okolicy nielegalnie granicę w Proskach. Co prawda w ostatniej chwili chciał się jeszcze legalnie granicę cofnąć, „...bo kiedy my koło Krzepic przejeżdżali a tu widzę jak takie chłopaki się bawią i małe gensi latają i krowy i owce. A kiedy to wszystko zobaczyłem to o mało nie zeskokczyłem z fury i nie poleciałem do tych chłopaków”.

Rozsądek bierze jednak górę nad chwilowym rozrzewnieniem. Lamęcki przedostaje się przez granicę nie tylko nie płacąc „swarcownikom” obiecanych 3 rubli, lecz ponadto wtrącając do wody żandarma rosyjskiej straży pogranicznej.

Łatwo było się przedostać przez granicę pruską, trudniej uzyskać w Prusach zatrudnienie. Oto parę scen z centrali pośrednictwa pracy w Lublińcu:

„...Zaraz zgolam tam do cyntrali ażeby się gdzie dostać do roboty. Ale kiedy tam zaszedem, było ludzi tam parę setek i takie czarne że ani nie podobni do ludzi... Kiedy przyszed jeden batur to te ludzie kiedy go zobaczyli to go oblegli, że ten batur ani sie nie mógł wykryncić. I takie wołanie: mnie, mnie, panie, niech pan weźmie do roboty! A ten batur zaledwie tylko wziął mnie, panie, niech pan weźmie do roboty! A ten batur zaledwie tylko wziął mnie, panie, niech pan weźmie do roboty! A ten batur zaledwie tylko wziął mnie, panie, niech pan weźmie do roboty... Co te ludzie mieli gadu na sobie, dwóch. Jednego chłopca i jedną kobietę... Co te ludzie mieli gadu na sobie, to aż niemiło było wierzyć. Zupełnie tak chodzą jak krowy na pastwisku lub owce...”

Tak siedział w „cyntrali” wśród tłumu czekających i „na głodno” przez szereg dni. Wreszcie zemdlął z głodu i wtedy jakiś chłop spod Opola zabrał go do siebie na wieś „Neudorf”. Na miejscu okazało się, że nasz bohater trafił do sympatycznej rodziny polskiej, gdzie dorosłe córki nie znały już jednak mowy ojczystej. I tak Janek został po raz pierwszy przechrzczony na „Johana”.

Gdy drugi raz w roku 1912 jechał do Prus wraz ze swą siostrą sprawa była znacznie łatwiejsza. Wydawano już oficjalne przepustki. Nowo zbudowaną koleją wyjechali z odległego o 10 km Złotego Potoku przez Częstochowę do Herb, gdzie przebiegała granica. Centrala pośrednictwa mieściła się teraz w Kluczborku. Specjalni agenci werbowali tu sprawnie i szybko do dużych gospodarstw pruskich, gdzie przygotowane były baraki i cały aparat organizacyjny na przyjęcie kilkuset nieraz osób liczących grup Polaków. Napływ pracowniczy sezonowych był bardzo duży, gdyż zarabiali oni tu znacznie

więcej, niż płacono w „Kongresówce”. Każdy wracał do kraju z zapasem ubrań dla całej rodziny, z zegarkami i „przepisowo” z fiaszką „ajerkoniaku”.

Swój drugi pobyt w Prusach przeciągnął Lamęcki ponad sezon i zaskoczyła go tu pierwsza wojna światowa. Stosunek do Polaków znacznie się wtedy pogorszył. Wygrazano im przy każdej okazji. Z tego okresu opisuje autor serię najbardziej fantastycznych przygód. Zaczęło się od strajku i pokaleczenia przez Lamęckiego dwóch Niemców ich własną szablą. Potem ukrywa się przez całą zimę w lesie, w dziupli starego dębu. Następnej jesieni zostaje jednak pochwycony, a w drodze na stację kolejową, mając już kajdany na rękach, uwalnia się igrasce zagłobowym fortelem od dwóch prowadzących go żandarmów. Ze zdobytą na nich szablą ucieka pierwszym rowem, przecinającym pole. Rów ten doprowadza go do jeziora:

„— Ażeby sobie może gdzie jakie miejsce wypoczynku wyszukać, toż tak się posuwam nad tem jeziorem dalej. Ale wreszcie zobaczyłem dość gęste zarośla... Kiedy tam wszedłem to mnie wtedy dopi-ro ucieszyło bo tam była wielka, wielka skała, tylko była tak zarośnięta, że ją wcale nie było widać... Sobie upatrzyłem takie miejsce i wtedy zaraz tam wchodzę do tej jaskini. Mnie sie tylko wydawało że to taka mała. Kiedy tam wszedłem to wtedy dopi-ro widzę jakie tam otwory. Toż się narazie i bałem żeby tam czasem nie było jakich zwierząt drapieżnych. Ale sie tak bardzo nie bałem bo przecież te sable miałem co tym głupim skopom odebrałem. Kiedy ich oszukałem



Fot. Zb. Guwro

że mi sie chce za swoją potrzebą. A Niemce to zawdy sie Polaków brzydzą, toż wolał mnie ręce rozkuć, jak miał mnie spodnie spuszczać do swojej potrzeby. Bo chociaż mnie sie wcale nie chciało, ale zawdy myślałem o tym że może mi się uda tym skopom uciec...”

W znalezionej tak szczęśliwie jaskini nad jeziorem urządza się Lamęcki jak Robinson na bezludnej wyspie. Zaraz pierwszego dnia wypatrzył rybaka wybierającego ryby z założonego w pobliżu jego jaskini tzw. „winciorka”. „Winciorek” i niemiecka szabla służą mu teraz jako narzędzia do zdobywania pożywienia, gdyż nie miał już w pobliżu „narzeczonej”, która do poprzedniej jego kryjówki przynosiła różne potrzebne rzeczy.

W jaskini swojej pędzi Lamęcki pustelniczy tryb życia przez parę miesięcy, dopiero wykonanie się zapasu zapalek i urosnięcie długiej brody skłaniają go do podejmowania wycieczek do miasta „Stranzuk”. Zobaczył tu na własne oczy (choć poprzednio o tym już slyszal) rozwieszone swoje zdjęcia z wyznaczoną nagrodą w wysokości 1000 marek za jego uchwycenie. Przerazony, ograniczając wycieczki do minimum, lecz i tak któregoś wiosennego dnia wracającego już z miasta Lamęckiego zaczęli gonić konni żandarmi. Bohater nasz, klucząc wtedy „jak to zajęć w polowaniu kiedy jest w kotle” jakoś szczęśliwie dopadł jaskini, chwycił swą szablę w garść i stanął w wąskim otworze.

Niemcy na widok jego długiej brody i szabli zaczęli szeptać między sobą, że jest to „kozak ruski”. Wzięto go fortelem. Po kilku mianowicie bezskutecznych próbach ujęcia rzekomego kozaka sprowadzono z miasta pompe strażacką. O tym epizodzie autor pisze następująco:

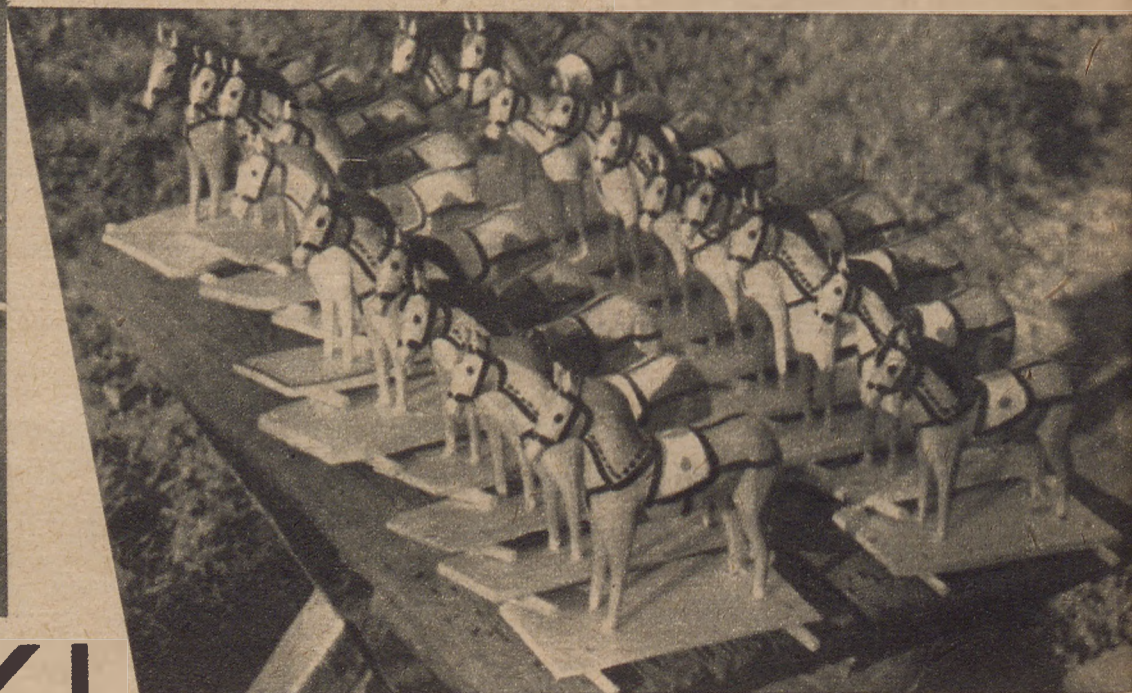
LESZEK DZIĘGIEL

Autor zwraca uwagę na tę efektowną gałąź ludowej twórczości, zaniedbywaną zarówno przez etnografów jak i amatorów-krajoznawców. Nie pretendując bynajmniej do przedstawienia pełnego obrazu zjawiska, daje ogólny przegląd ważniejszych ośrodków chałupniczych.

Z lewej: drewniane płaszki ze Stryżawy. Z prawej: jeden z lachowickich zabawkarzy, Franciszek Biegun przy pracy. U dołu: seria „półfabrykatów”: koniki z warsztatu Fr. Bieguna



ZABAWKI



ZABAWKI

Parę lat temu przeglądałem albumową pracę poświęconą ludowemu zabawkarstwu. Wydano ją w Czechosłowacji. Księga była wielka, gruba i — jak zwykle u naszych sąsiadów — wydana efektownie i solidnie. Album uwzględnił również i przykłady zabawkarstwa innych narodów, ale przede wszystkim głośił chwałę toczony mechanicznie, drobiazgowo malowanej czechosłowackiej zabawki z drobnych manufaktur. Operując kolorową wielką planszą publikacja ta niewątpliwie wywarła zamierzone przez autora wrażenie, dając niejednemu cudzoziemcowi posmak egzotycznego prymitywizmu sztuki środkowo-europejskich „tubylców”. Oczywiście jest to prymitywizm już uszlachetniony, taki, który nie zaskoczy niemiłe i nie zrazi ewentualnego klienta zbyt prostą formą.

I w trakcie oglądania plansz pomyślałam sobie o naszych zabawkach ludowych. Mimo iż jeszcze prymitywniejsze, bardziej wiejskie, bardziej chałupnicze, wcale chyba nie gorzej prezentowałyby się w tego rodzaju wydawnictwie. A może nawet górowałyby swym bezpretensjonalnym kształtem? Tylko że niestety niewielu dotychczas ludzi w Polsce interesowało się tą dziedziną ludowej twórczości. Polskie zabawkarstwo chałupnicze, ten rozległy dział sztuki ludowej, nie doczekało się po dzień dzisiejszy żadnego obszerniejszego opracowania. Nie doczekały się do dziś monograficznego omówienia nawet wielkie ośrodki chałupnictwa, w których dziesiątki rodzin chłopskich produkuje co roku wagony drewnianych bryczek, koników, wózków i ptaków.

Aby zetknąć się z tą wytwórczością, nie musimy odwiedzać jarmarcznych placów. Idąc bowiem ulica-

mi wielkiego miasta niejednokrotnie mijamy skulone pod murem postacie wiejskich handlarek. O ścianę oparty tobół, z którego błyska biel surowego drewna. U stóp rozłożone „na przynętę” fioletowo-zielone bryczki lub strojne w barwne pióra karuzele. A jeśli wstąpimy do któregoś z tych prywatnych sklepików z „artykułami gospodarczymi” i rozejrzemy się po półkach, wówczas i tu dostrzeżemy szeregi zabawek, które strugano przez wiele tygodni w chłopskich izbach żywieckich, myślenickich lub rzeszowskich wiosek. I wreszcie te same produkty chałupniczych centrów znajdziemy na cepeliowskich kramach w Sukienicach.

Tak się złożyło, że w ciągu ostatnich kilku lat dotarłem do większości ośrodków zabawkarstwa ludowego w naszym kraju, śledząc drogi jakimi napływają drewniane cacka na miejskie targi i sklepowe półki. Przelamując podejrzliwość jarmarcznych handlarzy wywiadywałem się o siedziby wytwórców pracujących od wielu lat w niespokojnej atmosferze nielegalności. A potem całymi godzinami tłukłem się w brudnych wagonach bocznych linii kolejowych. Wysiadywałem na maleńkich przystankach, gdzie po cięgi przybywają zawsze o jakichś dziwnych porach, albo bardzo wczesnych, albo wśród głuchej nocy. Gdzie mdłe światło naftowej latarni nad drzwiami zawiadowcy pozwala jedynie z trudem odczytać nazwę miejscowości i gdzie wysypujący się z wagonów pasażerowie wsiąkają szybkim truchtem w wilgotny, zimny mrok. Z plecakiem i aparatem fotograficznym przemierzałem rozrzucone na przestrzeni wielu kilometrów ubogie wsie południowej Polski. Odwiedzałem zagrody, w których

bieleją w słońcu stopy wystruganych deszczółek, a nogi grzęzną w szeleszczącej warstwie świeżych wiórów. Gdzie podłogi upstrzone są plamami barwnej aniliny a spoza pieców sterczą naręcza podsuszanych półfabrykatów. Byłem świadkiem pracy zespołowej całych rodzin. Widziałem mężczyzn jak siedząc okrakiem na prymitywnym warsztacie — „kobylicy” — strugali ośnikiem kłose drewna. Widziałem, jak dzierżąc w dłoni ostre bednarskie noże, wycinali szybkimi ruchami z sosnowych lub osikowych deseczek poszczególne części zabawek według przykładowych szablonów. A w tym samym czasie kobiety i starsze dzieci pokrywały świeżo wykonane zabawki kolorowym ornamentem, malując je pędzelkami z rozklepanego na końcu lipowego patyczka. Wzory wymyślano na poczekaniu nie bawiąc się w żadną kaligrafię, w przeciwieństwie do precyzyjnych malowideł jakie możemy jeszcze dziś zobaczyć w niektórych ośrodkach ludowego garncarstwa. Tu przede wszystkim chodziło o pośpiech. Na podłodze piętrzyły się stopy miniaturowych wasząków i kołysek. Formowały się szeregi czerwono malowanych koników. Anilina wsiąkała szybko w surowe drewno, zalewając nieco kontury rysunku. Tam gdzie uprawiano zdobne ryzowanie, pomalowane na jeden kolor bukowe tyły wózeczków i kołysek szły następnie pod ostrze cyrkuła pokrywającego zabawkę siatką misternego ornamentu.

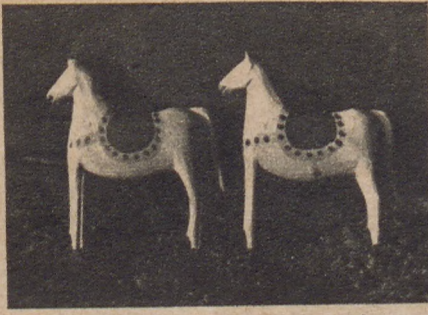
Krok za krokiem zdobywałem sobie zaufanie tych ludzi, obserwując ich pracę. Fakt iż ktoś interesuje się arkanami ich rzemiosła, zaczynał im imponować. Chętnie tedy popisywano się zrecznnością i szybkością wykonania. Bo też mimo, że zabawkarstwo drewniane to rzecz dla przy-

wykłego do majsterkowania wieśniaka wcale nie taka trudna, przecież i tu trafiają się „specjaliści”, umiejący szczególnie dobrze wykonać dany typ zabawki. Więc np. w takich Chałupkach pod Leżajskiem demonstrowano mi prymitywną tokarkę pedałową zbudowaną na zasadzie wykorzystania sprężystości wierzbowej gałęzi. Tokarki tej używają ponoć już od szeregu pokoleń tutejsi zabawkarze do wyrobu fu-jarek. A w Kieleckiem podziwiać musiałem prace braci Kołomańskich, specjalistów od wyrobu dużych koni na biegunach.

Zetknąłem się również z chałupniczym aparatem handlowym, z tą sprawną i wypróbowaną organizacją, która czuwa nad tym, by towar regularnie docierał na rynek. W wiejskim ośrodku zabawkarskim obok chałupnika, który nie mogąc się utrzymać z karłowatego gospodarstwa „dorabia sobie” rzemiosłem, żyje zawsze handlarz — organizator zbytu. I on również ma tylko zawzycząj niewielkie gospodarstwo. Handlarzem może być zresztą nieraz po prostu jeden z członków rodziny chałupnika. Ow organizator zbytu albo sam handluje na jarmarkach zabawkami, albo tylko dowozi je do sklepów, lub wreszcie utrzymuje w rozmaitych miasteczkach kontakty z kupcami przybywającymi tu po towar z nieco odleglejszych okolic. Podczas swego pobytu u wiejskich zabawkarzy nie nauczyłem się wprawdzie sztuki rozpoznawania na pierwszy rzut oka „po robocie” z którego warsztatu dana zabawka pochodzi, ale przyswoiłem sobie w dostatecznym stopniu wygląd zasadniczych typów zabawki, produkowanych w poszczególnych okolicach. Toteż z niemalym zdziwieniem odkrywam w nieraz bardzo nawet od-



1



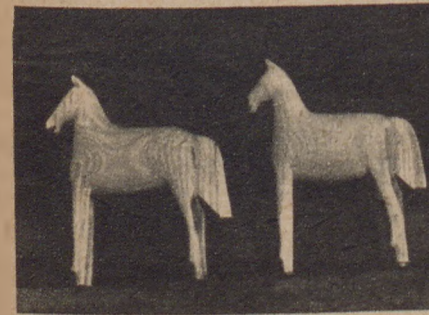
4



2



5

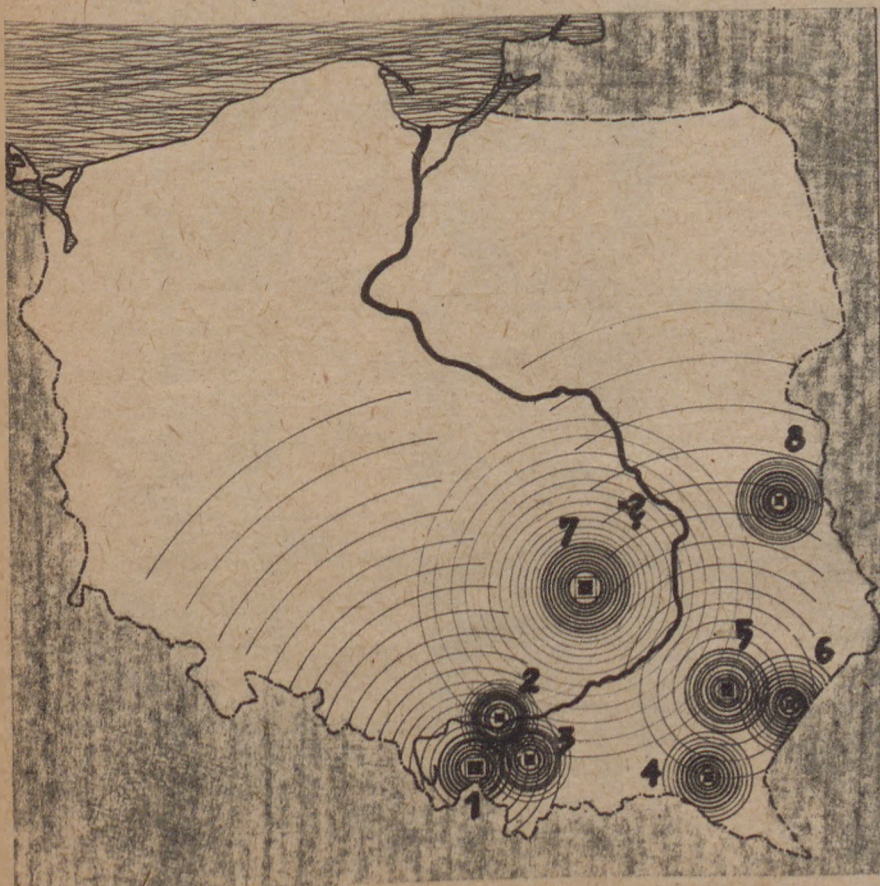


3

Cykl produkcji koników wyrabianych w Brzozie Stadnickiej: przycięty kawałek drewna dzieł się na pół i wyrzyna w nim z grubsza kształty dwu koników. Szczegółowej obróbki dokonuje się ośnikiem na kobylicy. Następnie figurki schną na piecu. Powstałe przy wysychaniu pęknięcia zalepia się gipsem i rozpoczyna malowanie. Pomalowane i powleczone bezbarwnym lakierem koniki osadza się na wykonywanych osobno podwoziach. Fot. L. Dzięgieł

FOT. WACŁAW NOWAK ZABAWKI

Orientacyjna mapa zlokalizowanych dotychczas centrów chałupniczego zabawkarstwa i ich zasięgów handlowych. 1 — ośrodki żywieckie. 2 — Mników. 3 — Poreba. 4 — Stara Wieś. 5 — ośrodki rzeszowskie. 6 — Futory. 7 — ośrodki kieleckie. 8 — ośrodek pod Parczewem. Pytajnikiem oznaczono hipotetyczny ośrodek w powiecie kozienickim



ległych miejscowościach dobrze mi znane pstrokate koniki spod Łańcuta, żółte fujarki z Chałupek, lub ryzowane zabawki żywieckie. Zasięg działania tych wiejskich handlarzy jest imponujący.

Historia ośrodków zabawkarskich w Polsce jest dość niejasna. Cała ta masowa wytwórczość wybucha niejako nagle na przełomie XIX i XX stulecia a w niektórych okolicach i później. Tak w każdym razie wynikałoby z dotychczasowych danych, zebranych w terenie. Nie jest oczywiście wykluczone, że dalsze badania mogą rzucić dodatkowe światło na zagadnienie genezy tego działu rzemiosła ludowego w Polsce. Przedstawmy jednak w skrócie rozmieszczenie i historię ważniejszych ośrodków.

Najstarszym chyba, bo liczącym co najmniej około 80 lat zespołem zabawkarskim są góralskie wioski w pobliżu Żywca: Lachowice, Koszarawa, Stryszawa, a także Hucisko, Kuków i Krzeszów. Lachowice i Koszarawa były tu pierwszymi ogniskami tego rzemiosła produkując początkowo tylko waszki z 2 lub 3 konikami. Skąd wzięto sam pomysł tego rodzaju produkcji, no i pierwsze wzory — nie wiadomo. Co do późniejszych typów to istnieje duże prawdopodobieństwo, że podpatrzone je po prostu w sklepach z zabawkami fabrycznymi, a może nawet wzorów dostarczyli współpracujący z chałupnikami handlarze. Wyrób rzeźbionych, malowanych ptaszek stryszawskich zapoczątkował w tej wsi w roku 1924 niejaki Teofil Mentel. Wzorem był dlań zdobyty na służbie u kalwaryjskiego pustelnika atlas ornitologiczny.

Okres międzywojenny wogóle wprowadza szereg nowych typów zabawek. Tak np. popularnego tu dziś konika na kółkach lansował ponoć wtedy żydowski handlarz Józef Felter z Koszarawy. W tym samym czasie pojawiają się zabawki ruchome: klaszczące skrzydłami ptaki itp. Dziś zabawkarstwem trudni się tu szereg ubogich rodzin góralskich. Chałupnicy żywieccy mają poza sobą i kursy przedwojenne i powojenne porady artystyczne CPLiA. Nie wszystko im na dobre wyszło. Ze jednak obecnie twórczość tych wiejskich rzemieślników jest znacznie zróżnicowana, to fakt. O wiele chyba bardziej, niż w innych ośrodkach. I dzisiejsze bogato ryzowane barwne zabawki o skomplikowanym nieraz ornamentem różnią się chyba znacznie od owych, podobno początkowo wogóle nie malowanych waszki z Koszarawy i Lachowic, o których opowiadają starzy żywieccy chałupnicy.

O tym przynajmniej częściowo możemy się przekonać przybywając do wsi Łączna, pod Kielcami. Tu bowiem około 65 lat temu pojawiło się kilka rodzin emigrantów z Galicji, ze wsi Lachowice. Przybysze, osiedliwszy się w tej obfitującej w lasy okolicy szybko rozpoczęli wyrób zabawek, jakie znali z ojczyzny wiojski. Ten typ pobocznego zarobku natychmiast spopularyzował się wśród sąsiadów i dziś istnieje tu cały zespół wsi trudniących się chałupniczym zabawkarstwem; należą doń Łączna, Ostojów i Czerwona Górka. Wszędzie widzimy typowy dla żywieckiego waszki z czerwonymi konikami, zdobiony charakterystycznym ryzowaniem. Tylko że ryzowany ornament jest tu o wiele uboższy. Taki bowiem zapewne znano na przełomie obu stuleci kiedy przybysze z południa osiedlili się w Łącznej. Inne typy zabawek (duże konie na biegunach, klaszczące ptaki i karuzele) wprowadzili tu jeszcze w czasach I wojny światowej dwaj miejscowi kramarze. Dziś kieleckie zabawkarstwo rozrosło się do tego stopnia, że okoliczna ludność nadała chałupnikom z Łącznej żartobliwą nazwę „koników” a ich ładowany pośpiesznie do wagonów towar („minuta postoj!”) znany jest doskonale bywalcom linii Kielce — Radom, pod nazwą „ciężkiego przemysłu”.

Pewnego mroźnego popołudnia dotarłem do Poreby, małej wsi wtulonej w jedną z kotlin myślenickiego Beskidu. O istnieniu w niej warsztatów zabawkarskich dowiedziałem się przypadkiem i prawdę rzekłszy nie bardzo tej informacji wierzyłem. W najlepszym zaś razie spodziewałem się zastać tu ludzi kopiujących wzory żywieckich zabawek, a zatem — nic nowego. Tymczasem odkryłem nowy, zupełnie oryginalny ośrodek. W warsztacie starego Pachacza pokazano mi zgrabne wózki drabiniaste malowane w drobniutkie kwiaty i małe bryczki o niespotykanych dotychczas kształtach. Chałupnicy posługiwali się tu częściowo już tokarką, większość jednak wyrzynając po staremu na kobylicach. Zabawkarstwem zaczęło się zajmować w Porebie dopiero około 30 lat temu. Terytorium ekspansji tego dość efektownego zresztą centrum chałupnictwa jest stosunkowo niewielkie. Sięga po Kraków.

O ile dotychczasowe centra zabawkarskie powstały na góralszczyźnie lub przynajmniej pod wpływem wzorów z Pogorza, o tyle ośrodki rzeszowskie nic raczej z góralami wspólnego nie mają. Warto na to zwrócić uwagę gdyż tu i ówdzie zwykło się dość pospolicie, a niezbyt słusznie, łączyć wyrób i handel drewnianych zabawek nieodmiennie z ubogimi mieszkańcami gór. Otóż te ośrodki, o których teraz opowiem leżą na lesistych pagórkowatych obszarach na północ od Łańcuta. Pierwszy z nich to Chałupki, napoły wiejskie przedmieście Leżajska, rozsiępane u stóp klasztoru bernardynów. Do klasztornych odpustów mieszkańcy Chałupki przygotowują się wiele tygodni naprzód. A więc odlewają z gipsu i lakierują kolorowe figury świętych ze straszliwie wytrzeszczonymi oczyma, a przede wszystkim robią fujarki. Całe naręczą, całe wory. Jeżeli gdziekolwiek w Polsce zobaczycie na straganie czy półce sklepowej żółtą lub czarno malowaną fujarkę wiedzieć, że macie do czynienia z produktem leżajskich murarzy. Murarzy? Tak jest, ponieważ murarka właśnie od całych pokoleń zarabiają na życie ci zabawkarze z Chałupki w ciepłych okresach roku. W martwym zaś sezonie zimowym pracują przy swych prymitywnych tokarkach. Szczególnie dużo fujarek kupowali od nich przed wojną żydowscy kupcy. Ci bowiem ruszali z nimi następnie na wielki, 8 dni trwający odpust w Kalwarii Pałacowskiej pod Przemyślem. Odbywał się on tam co roku z okazji święta Matki Boskiej Zielnej.

W 1909 r. założył w Leżajsku niejaki Marian Garbacki własną fabryczkę zabawek. Fabryczka upada w 1930 r. Produkcja jej nie miała nic wspólnego z przemysłem ludowym. Garbacki uczył się swego zawodu w Norymberdze. Tym nie mniej owa małeńka, bo zatrudniająca do 20 robotników wytwórnia, odegrała zdaje się dość ważną rolę w rzeszowskim zabawkarstwie ludowym. U Garbackiego pracowali nie tylko ludzie z Chałupki. Od czasu do czasu znajdowali tu również zatrudnienie chłopcy z sąsiedniej Brzozy Stadnickiej, ze wsi gdzie z początkiem XX wieku powstaje w dość tajemniczych okolicznościach wielki ośrodek ludowego zabawkarstwa.

Oczywiście nikt w Brzozie do kopiowania zabawek Garbackiego nie chce się przyznawać, a główna rodzina zabawkarzy opowiada, że ich protoplasta, stary Marcin Guzy, w młodości wyrzeźbił pierwszego bardzo zresztą naturalistycznie potraktowanego konika na wzór znalezionego mosiężnej ozdoby chomąta. Ale zarówno kształty jak i malowana lakierem srokata maść koników a także ich ozdobna uprzęż nasuwają podejrzenia, że jest to zwulgaryzowana kopia toczonych i oklejanych następnie białopopielatym filcem zabawek z leżajskiej fabryczki. O wiele bardziej niejasno natomiast przedstawiają się inne szczegóły rozwoju ośrodka w Brzozie. Drugim bo-

„Kiedy ta fura przybyła to i ludzi też nie mało przybyło, to ja wtedy myśle sobie co teraz byndzie ze mną i zaraz wtedy słysze plusk wody. Totyż nie długo trwało to mnie już woda zaczyna płynąć, to ja się wtedy zamyślałem co sie robi? Co sie robi na miłość Boską że ta woda płynie do mojej jaskini... Nie długo trwało to mi woda wchodzi na ten kamień, na którym ja byłem i wtedy go już zakrywa. I tak sie szybko posuwa to ja sie teraz dopiero zamyślałem, co teraz byndzie robić. Ale nie było czasu do tego, bo już woda mi wchodzi za kolana i tak sie posuwa coraz to dalej. A ja czekam że sie moja jaskinia przepełni i że sie nie byndzie dali dźwigać. Ale to była duża omyłka bo sie woda coraz to wyżej wznosiła to też mi woda sięga do pasa. To ja już widzę, że nie ma ze mną żadnego ratunku. A tu już mi woda dochodzi do szyi to ja wtedy spadam w wodę i myślę sobie niech sie ze mną skończy raz. Ale jakim sposobem sie dostałem w reńce tych szkopów bo przeciez chciałem zebym się już utopił. Sam nie wim co mnie tam wyniesło...”

Epopoea w Prusach skończyła się więzieniem, skąd Lamęckiego uwolnił dopiero rozruchy 1918 roku.

Po dwóch latach ukrywania się i paru miesiącach więzienia dnia 29 października 1918 roku mógł wreszcie wsiąść do pociągu jadącego przez Berlin do Polski.

Po powrocie do rodzinnych stron zaciągnął się do służby dworskiej, na której jako polowy i gajowy początkowo w Dąbrowie Zielonej a potem w Kościelcu spędza cały okres międzywojenny. Jest to część pamiętników mniej stosunkowo zajmująca. Do ciekawszych należy tu m. i. sposób wybrania sobie żony. Odybyło się to tak. Zamówił 10 dziewcząt do kopania kartofli i zapowiedział im: „...tylko sie prosze dobrze starać dziewczuchy, bo jak zobacze która sie najlepiej byndzie starała ta byndzie moja. Totyż te dziewczuchy chciały sie pozapałać, co tak robiły jedna przez druga”. Okazało się, że najlepiej pracowała „biedna siorota Jozia” i ta została wkrótce jego żoną.

Część pamiętników obejmująca wspomnienia z kampanii wrześniowej oraz okresu okupacji i walk partyzanckich, jest bardzo interesująca. Opisane są tu wyczyny małych grup żołnierzy i lotników walczących z przeważającą siłą armii niemieckiej, której pancerne oddziały już drugiego dnia wojny znalazły się pod Koniecpolem. Lamęcki pisze też o działających tu grupach partyzanckich. Kilka przedstawionych w pamiętniku akcji zadziwia precyzją wykonania. Lamęcki sam nie bierze w nich udziału. Opisuje je czasem jako naoczny świadek lub po późniejszym obejrzeniu miejsca wydarzeń, czy — rzadziej czerpiąc materiał z opowiadań innych ludzi. Relacje są tak szczegółowe, że czytając wspomnienia Lamęckiego trudno się od nich oderwać.

Pamiętniki kończą się obecnie na przygodach związanych z powrotem Lamęckiego spod Wrocławia, dokąd cofająca się w zimie 1945 r. armia niemiecka zawlekła go jako „podwodę”. Byłby z pewnością zjechał jeszcze dalej, gdyby wraz z trzema innymi chłopami z Dąbrowy Zielonej nie umknął pieszo, pozostawiając Niemcom swoje konie i wozy. W wędrówce przez Śląsk szczęśliwie trafiali na rodziny polskie, które im pomagały i tak całej trójce udało się pomyślnie dotrzeć do dawnej granicy i przekroczyć ją pomimo gęstych patroli niemieckich.

Obecnie Jan Lamęcki zamierza kontynuować swoje pamiętniki, których pisanie przerwał w 1945 roku. Ciekawe, jaki styl obierze teraz. Można przypuszczać, że mniej tu będzie jego własnych bohaterskich czynów, które w odzwierciedleniu okupacji były już coraz bardziej wypierane przez inne wydarzenia. Być może pojawią się poprzednio zbyt rzadko lub zupełnie nie występujące partie ogólne o życiu wsi oraz wzmianki o własnej pracy rzeźbiarskiej, co pozwoliłoby na głębsze wniknięcie w psychologię twórcą tego artysty ludowego na tle jego otoczenia.

MARIA PRZEŹDZIECKA



Z A B A W K I • Z A B A W K I • Z A B A W K I • Z A B A W K I

wiem prekursorem zabawkarstwa był tu osiadły handlarz, Franciszek Bocho. On to zaczął robić charakterystyczne dla Brzozy bryczki z 2 konikami, o kształtach innych niż w dotychczas poznanych przez nas ośrodkach. Skąd mógł czerpać wzory? Wiemy iż utrzymywał żywe kontakty z Jaworowem. Jaworów zaś, obecnie znajdujący się już poza granicami Polski był wielkim centrum chałupniczego zabawkarstwa. Ba, istniało tam nawet coś w rodzaju szkoły rzemiosła artystycznego. Cóż kiedy znane nam zabawki jaworowskie różnią się wyraźnie od typu produkowanego przez Brzozę! Więc może własna inwencja handlarza? Zagadka czeka na rozwiązanie. Podobnie jak i w innych regionach tak i tu w latach międzywojennych wzbogaca się asortyment produkcji. Handlarze rzeszowscy chętnie podpatrują na jarmarkach swych kieleckich i jaworowskich konkurentów. A potem coś łatwiejszego jak przywiezioną nową zabawkę rozebrać na części i użyć ich jako szablónów? Brzoza Stadnicka to dziś jeden z najznacniejszych ośrodków wyrobu drewnianej zabawki. Towar stąd wędruje przede wszystkim na wschodnie obszary Polski, gdzie mniej zagraża konkurencja spod Żywca i Kielc. Po ostatniej wojnie wielu gospodarzy wyemigrowało z tej przeludnionej wioski. Wśród nich znalazły się i rodziny chałupników. Toteż obecnie identyczne zabawki struga się w kilku punktach wschodnich połaci kraju: w Starej Wsi (pow. Brzozów), w Futorach (pow. Lubaczów), a także w którejs z lubelskich wiosek leżących w pobliżu Parczewa.

Jest wreszcie parę drobnych ośrodków zabawkarskich, o których dziś jeszcze wiemy bardzo niewiele. I tak idąc od południa: należy się liczyć z istnieniem jakiegoś małego centrum na obszarze między Nowym Targiem a Rabką. Pod Krakowem

istnieje ponad wszelką wątpliwość chałupnicze zabawkarstwo w Mnikowie. Tym samym Mnikowie, którego malownicze skałki dostarczają niedzielnych emocji naszym taternikom. W końcu, wiadomo mi o istnieniu jakichś wiejskich zabawkarzy na obszarze lesistego powiatu kozienickiego, gdzie podobno w pobliżu osady Głowaczów. Ich ciemnoczerwone konie na biegunach zdobne w nalepione z papieru(!) kwiaty, spotkać można na stoiskach targowych w Radomiu.

Czy istnieje możliwość odkrycia w Polsce zupełnie dotychczas nieznanego centrum ludowego zabawkarstwa? Teoretycznie tak. W każdym razie o ile mowa tu o drobnych, słabo ekspandujących ośrodkach. Natomiast możliwość odnalezienia jakiegoś wielkiego zespołu chałupniczego, tego typu jak wioski żywieckie lub ośrodki na Rzeszowszczyźnie, wydaje mi się raczej dość nikła. Centrum bowiem takie „dałoby o sobie znać” wysyłając na targi towar i konkurując z dotychczas nam znanymi zabawkarzami. No, ale jeśli pewnego dnia okaże się iż naprzekór tym słowom ośrodek taki istnieje — to tym lepiej! W każdym razie warto poszukać. Oczywiście „warto” dla amatorów takiego polowania.

Te chałupnicze centra to oczywiście zaledwie jeden z działów twórczości zabawkarskiej naszego ludu. Tym nie mniej jest to dział najłatwiej rzucający się w oczy i najbardziej dynamiczny. Wiele w nim jeszcze tkwi niewyjaśnionych zagadek. Co np. było przyczyną nagłego pojawienia się i rozwoju tego typu rzemiosła wiejskiego na przełomie obu stuleci? Czy istniały u nas gdziekolwiek jakieś starsze wielkie ośrodki drewnianego zabawkarstwa? Jaka była geneza pierwszych typów zabawek? Dlaczego chałupnictwo to (podobnie zresztą jak i wyrób drewnianych łyżek, krzeseł itp.) rozwinęło się nagle w tych właśnie a nie



Bryczki z Lachowic wykonane w warszacie Si. Bogdanika. Ozdobne ryzownice to charakterystyczna cecha żywieckich i kieleckich zabawek ludowych. Fot. W. Nowak

Z DAWNYCH KRONIK I INNYCH ZABYTEKÓW PIŚMIENICTWA



SIEDLIŚKO ZIEJĄCE OGNIEM

... „Zbliżając się od Radomia do Szydłowca, a stamtąd przez Skarżysko do Suchedniowa, głównego punktu fabryk górniczych, odległy grom młotów i słupy dymu uprzedzą cię, że się w krainie kunsztu znajdujesz.

Przybywszy do Suchedniowa, stolicy zarządu fabrykami górniczymi okręgu wschodniego i otrzymawszy z uprzejmością pozwolenie na obejrzenie rękodzielni, pospieszyłem do najbliższej leżącego zakładu w Parszowie, gdzie jest wielki piec do topienia żelaza.

Potrzeba by mi wprawnej ręki naszego Suchodolskiego i tak zręcznego jak on władania kolorami, gdybym ci chciał z całą prawdą odmalować tego olbrzyma, który wznosząc hardą szyję z okopconej paszczy wzdrywa kłęby dymu, a w nich tysiące gwiazd nikiących migoce i znów tysiące powstałych ulatujących niknie, jak wszystko, co się na ziemi rodzi. Skoro przestąpisz nieśmiało próg tej czarnej otchłani, nowy widok uderza twe oczy. Ponura ciemność szerokiego gmachu oświetla blado niebieskawy płomień, nieustannie przez dwóch cyklopów podsypany i ognista lawa roztopionego kruszcu rzuca czerwone światło na okopcone twarze snujących się jak cienie hutników. Postacie te, w czarnych kitlach, z drewnianymi trepkami na nogach, których odgłos stąpania przerywa ciszę, czuwają nad ognistą lawą, śmiało stawiając jej zapory. Kiedy czarny kamień (ruda) pomieszany z węglem drzewnym zamieni się przez działanie nieustannego ognia w cieciz, która splywa do zbieracza, na skinięcie majstra wytacza się w przygotowane z piasku formy i tysiączne może przybrać kształty. Rzekłbyś, że żelazo, ta istota twarda, nieposłuszna, tutaj nabie-

ra życia, toczy się, płynie, pryska, tysiączne wydając iskry, jakby tysiące dusz z niego uleciało. Potem wyzionwszy ducha, spoczywa martwe i nieczułe, póki na nowo nie ogrzane pod wielkim młotem zmieniając swą postać na nowo nie zmartwieje. Żelazo wytopione nazywające się surowcem wylewają tu w kształty przeciętych cylindrów, długości 12 do 15 cali i takie kawałki przybierają tu nazwę gęsi. Gęsi takowe przechodząc kolejno do tak zwanych fryszerok, czyli kuźnic, przemieniają się pod uderzeniem stocetnarowego młota na sztaby kute, które stosownie do sposobu kucia i kształtu, dzielą się na różne gatunki i mają osobne nazwiska, jako to: żelazo zwyczajne, sztabikowe, szynowe, obręczowe, modelowe, płuźne.

Wielki piec na Parszowie (tak się nazywa huta do topienia rudy) wydaje rocznie około 30.000 cetnarów surowca, który użyty jest do odlewu różnych części do machin i narzędzi z żelaza lanego, już to do amunicji, która tu jest wyrabiana w piecu kopułowym, już to przemieniona zostaje w sąsiednich fryszerkach na żelazo kute.

Opuszczając to nieustannie ziejące ogniem i dymem siedlisko, kilku z pracowników zastąpi ci w progę z gorejącymi na krzyż szynami, wtedy małym datkiem okupujesz wolność oddychania czystym powietrzem, pełen w sercu pociechy, a zarazem i zdumiony i przerażony cudami nieustającego w usiłowaniach ludzkiego umysłu.

Bez wielkiego trudu możesz tu zwiedzić wielki łańcuch ciągnących się fabryk. Wszędzie znajdziesz uprzejmość, a odpowiedzi pracujących — chociaż lakoniczne — w żaden błąd nie wprowadzają. Wszędzie też panuje wzorowy porządek, czystość, wszędzie spostrzeżesz gorliwość, pracowitość i wytrawną znajomość rzeczy.

Następujące są w tym okręgu fabryki godne zwiedzenia miłującego przemysł krajowy, jako: wielkie piece Bzin, Mostki (z piecem kopułowym), Mroczków, Starachowice, Królewiec, Samsonów z piecem kopułowym, którym następujące kopalnie dostarczają rudy żelaznej: Józef, Elżbieta, Piotr, Anna, Paweł, Dalejów, Leon i Nadzieja, Świniągóra, Osiny, Czalczyński smug, Olesiówka, Jah, Stefan, Ławeczna Góra, Zygmunt, Włodzimierz, Łągów, Xawery. Kopalnie te rozciągające się na przestrzeni 10 mil kwadratowych mają rocznie 200.000 kibli (korcy) rudy żelaznej do wyżej zaliczonych wielkich pieców. Nadto kopalnie Dalejów, Iłża i Kozów dostarczają wyborną glinę ogniotrwałą, używaną do budowy hut i innych potrzeb fabrycznych. Wszystkie wielkie piece w tym okręgu wytapiają surowcu około 150.000 cetnarów wagi polskiej, z których blisko trzecia część użyta jest do różnorodnych łań żelaznych, a reszta przemieniona zostaje na żelazo kute przeszło 100.000 cetnarów wynoszące. Żelazo kute najlepszych gatunków nie ustępuje w dobroci szwedzkiemu, jeżeli jest dokładnie oczyszczone...

(Relacja monogramisty J. M. W., zatytułowana „Wycieczka po zakładach górniczych”, zamieszczona w r. 1839 w wyd. „Muzeum Domowe”).

TAJEMNICA DIABELSKIEGO STAWU

JAKUB ANTONIUK

Miejscowa ludność zowie go wprawdzie „stawem Czechowskim” lub „diabelskim”, ale na wszystkich mapach nosi on nazwę Jeziora Zygmunta Augusta. Widok z szosy tak na jezioro jak i na leżącą obok wieś Czechowizna, zasłaniają piaszczyste wzgórza, zaś boczna piaszczysta droga wiodąca z szosy do wsi niezbyt zachęca do zwiedzania okolic Czechowizny i znajdującego się tu „stawu”, tak, że jest on na ogół mało znany i jeszcze mniej odwiedzany nie tylko przez turystów z całego kraju, ale i przez mieszkańców niedalekiego Białegostoku.

Jezioro mierzy przeszło 7 kilometrów obwodu i około 400 ha powierzchni. Roi się od ryb i wodnego ptactwa. Z wiosną po powierzchni jeziora zaczynają krążyć „pływające wyspy”. „Wyspy” te powstają z małych nasion niektórych roślin wodnych, które zbierają się w pianie wodnej i kielkują tu bardzo szybko splatając się korzonkami ze sobą. Powstała na skutek tego cienka warstwa pływająca roślin wodnych powiększa się tworząc z czasem gruby kożuch przesuszany podmuchami wiatru z jednego miejsca jeziora w drugie. Często na takich pływających wyspach kielkują i wschodzą krzaki brzozy i łoziny, na których przebywa i lęgnie się bezpiecznie w wielkich ilościach ptactwo wodne i błotne, głównie dzikie kaczkę, lyski i kuliki. Wyspy takie jesienią opadają na dno jeziora, aby z wiosną wypłynąwszy znów na powierzchnię, wędrować po niej od brzegu do brzegu. Często zdarza się, że „wyspa” zespala się z trzciną i szuwarami nadbrzeżnymi, tworząc charakterystyczne uginające się pod ciężarem człowieka tereny nadbrzeżne, pod którymi wyczuwa się wyraźnie bulgoczącą wodę.

Ale nie to jest główną atrakcją i osobliwością jeziora. Rzadko bowiem które jezioro posiada tyle legend, tyle najrozmaitszych wersji „naukowych” i przypuszczeń, co „Czechowski Staw”. Toć przecież to samo jezioro, miał według legendy wykopać diabeł na rozkaz mistrza Twardowskiego w ciągu jednej nocy. Tak chce legenda. Ale nie wszyscy ludzie chcą wierzyć w diabły, zwłaszcza takie pracowite — kopiające stawy i jeziora. Fakt jednak położenia „Diabelskiego Stawu” z dala od pasma jezior mazurskich, suwalskich i augustowskich oraz jego nie naturalna wprost płytkość, wynosząca przeciętnie 1,5 m przy znacznej powierzchni, sugerują iż ów zbiornik wodny powstał sztucznie. Potwierdzają to i opowiadania okolicznej ludności, która uparcie odmawia „Czechowskiemu Stawowi” nazwy jeziora, określając je mianem stawu, jakim zwykła określać sztucznie utworzony zbiornik wodny. Stąd też większość badaczy dochodzi do wniosku, że „Staw Czechowski” powstał istotnie sztucznie, ale jakież wysnuwa przy tym teorie na temat jego powstania! Oto w „Encyklopedii Powszechnej” S. Orgelbranda z 1898 r. na str. 573 tomu I czytamy:

„Augusta jezioro, w pobliżu Knyszyna, długie pół, a szerokie ćwierć mili, zwane przez miejscową ludność Czechowizną, zostało wykopane za króla Zygmunta Augusta przez jeńców wojennych”. Do podobnego wniosku doszedł widocznie i ostatni właściciel dóbr Knyszynskich i „Czechowskiego Stawu” hrabia Karol Raczyński, który polecił wystawić tu w r. 1930 tablicę z napisem:



Autor artykułu, lat 47, interesuje się historią i etnografią Białostocką. Obok działalności popularyzatorskiej prowadzi badania swego regionu w zakresie tych dwu dyscyplin. W ubiegłym roku w związku z 300-leciem najazdu Szwedów na Polskę opublikował pracę pt. „Potop szwedzki na Podlasiu”. Problematykę wojen szwedzkich na Podlasiu poruszał także na łamach ZIEMI (nr 2/58) w artykule „Fortyfikacje generała Rose”.

Z A B A W K I • Z A B A W K I • Z A B A W K I • Z A B A W K I

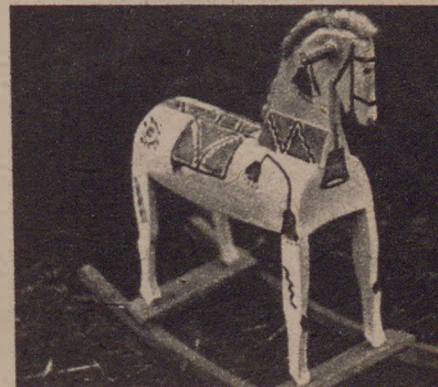


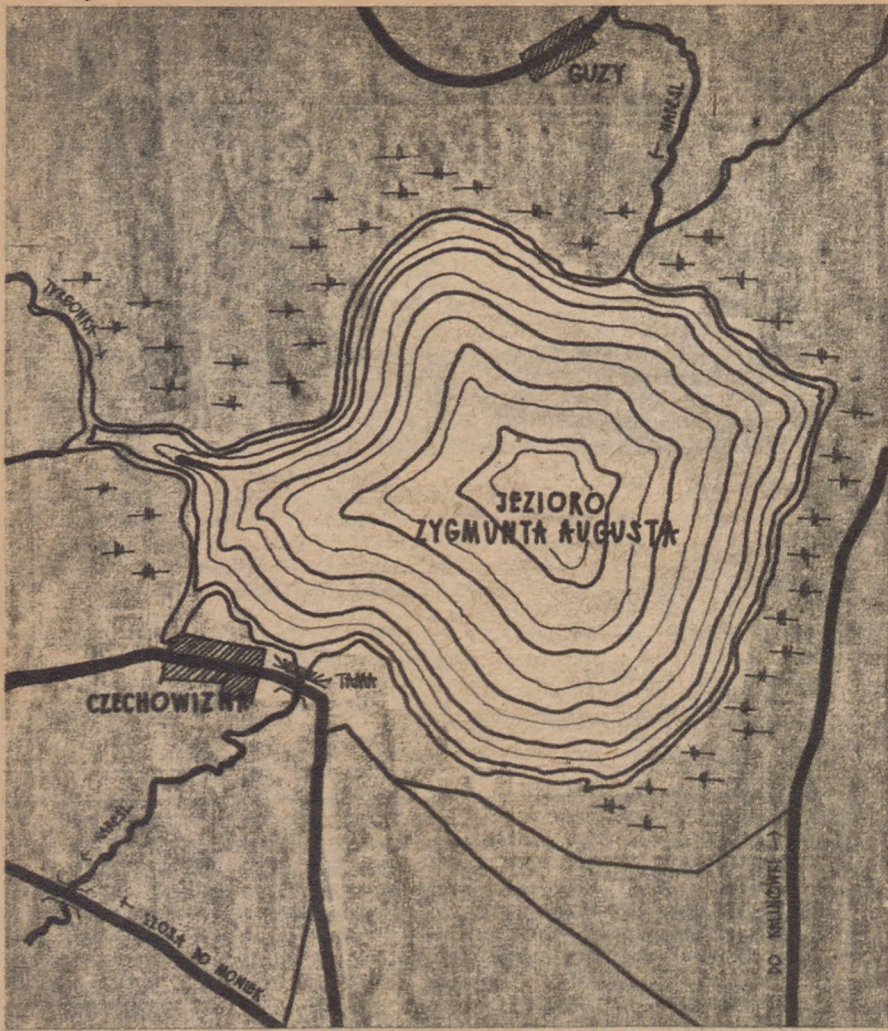
innych, mających po temu takie same warunki miejscowościach? Jak wyglądały dawne zabawki ludowe produkowane przez chałupników sąsiadujących z nami narodów? I wreszcie pozostaje osobny wielki dział, który nazwałbym „psychologią zabawki”. Jakie mianowicie typy zabawek i dlaczego, przyjmują się powszechnie, a inne „nie chwytają”?

Tę kurpiowską zabawkę sfotografował Wojciech Plewiński w muzeum w Łomży

Nadchodzi wiosna a z nią nowy sezon dla zabawkarskich chałupników. Pierwszy bowiem trwał od późnej jesieni do Nowego Roku (św. Mikołaj i Gwiazdka). Teraz zbliża się pora kiedy opustoszałe parki i skwery znów zaroią się mrowiem dzieciarni. I wtedy wiejski chałupnik rozpocznie swe „drugie żniwa”.

Koń na biegunach z Ostajowa. W wyrobie takich koników specjalizują się bracia Mieczysław i Stanisław Cieszkowie. Fot. L. Dzięgieł





„Staw ten egzystuje od dawnych już czasów. Pamięta Jagiellonów, panowanie Sasów. Przetrwiał burze dziejowe, inwazje Moskali, Król Zygmunta go założył, Czesi wykopali”.

Jeżelibyśmy przyjęli za pewnik twierdzenie, iż Staw Czechowski został wykopany na rozkaz króla Zygmunta Augusta, to musielibyśmy odpowiedzieć jednocześnie na następujące pytanie: Dlaczego król ten kazał kopać olbrzymi staw tak daleko od Knyszyna, w polu, z dala od traktów i swojej rezydencji? Dlaczego kopiąc go sztucznie nie nadał mu jakiejś wyraźnej formy geometrycznej (prostokątnej lub kwadratowej) i gdzie wreszcie „ukryto” wykopaną ziemię, boć przecie brzegi stawu są wszędzie niskie, a nawet bagniste. Nie widać też w jego pobliżu żadnych wzniesień, wałów lub pagórków. A chyba trudno przypuszczać, aby ją odwożono całymi kilometrami gdzieś dalej! Na fakt ten zwrócili już uwagę okoliczni chłopci, którzy opowiadając legendy o Twardowskim i powstaniu owego stawu utrzymują, że diabli kopiąc czechowski zbiornik na rozkaz mistrza Twardowskiego musieli nosić ziemię aż gdzieś pod Kraków, gdzie usypali z niej olbrzymią górę „o wierzchu ostrym jak igielka”. Co jednak najważniejsze to król Zygmunta August nie prowadził nigdy wojny ze swoim teściem Ferdynandem królem Czech i Moraw. A przecie staw musieli — jak utrzymują niektórzy — „kopać” Czesi, stąd też rzekomo powstała i nazwa miejscowości — „Czechowizna”.

Jeżeli więc Staw Czechowski nie jest jeziorem naturalnym jak wszystkie jeziora pasma augustowsko-suwalskiego i mazurskiego, jeżeli nie wykopali go czarci na rozkaz Twardowskiego, ani jeńcy wojenni lub Czesi na rozkaz króla Zygmunta, to w jakiz inny sposób mógł powstać?

Odpowiedź na to znalazłem w jeszcze jednej legendzie kursującej wśród okolicznej ludności. Głosi ona, że król August po stracie swojej ukochanej małżonki Barbary Radziwiłłówny, poślubił „jakąś królową z Czech”, którą jednak zaniedbywał urządzając częste łowy w lasach knyszyńskich. Rozgniewana Czeszka wysłała służalców swoich, by z jej polecenia „podpalili lasy knyszyńskie”. Od płonącej puszczy zajęło się później torfowisko w okolicy, którą wówczas nazywać miano Wizną, a później, od czeskich sług owej królowej, Czechowizną. W miejscu wypalonego torfowiska utworzyło się następnie dzisiejsze jezioro Zygmunta Augusta.

Legenda powyższa dziwnie zgadza się z historią panowania króla Zygmunta Augusta, który po śmierci swej drugiej żony Barbary Radziwiłłówny poślubił był w roku 1553 rodzoną siostrę swej pierwszej

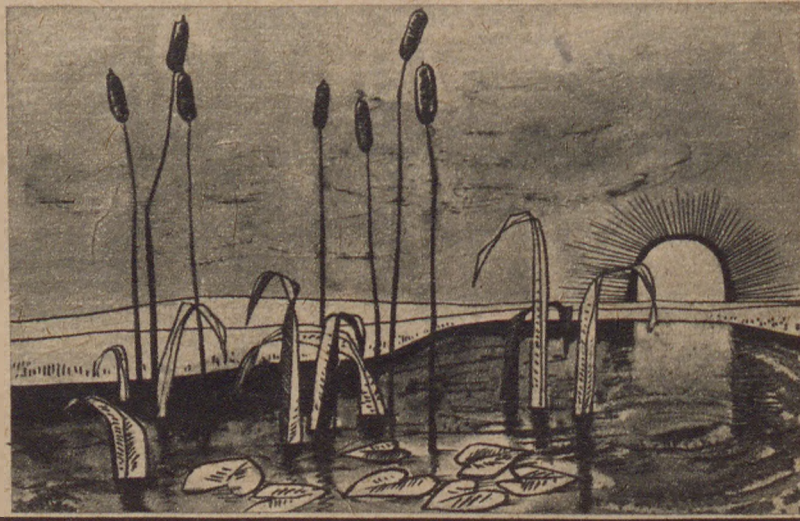
małżonki — Katarzynę Austriacką, córkę Ferdynanda I króla Czech i Węgier. Nieszczęśliwa królowa po krótkim pożyciu z ostatnim z Jagiellonów została porzucona przez króla w roku 1563.

Jeżeli zaś chodzi o Knyszyn, to nie tyle może jego piękne a rozległe „pełne zwierza bory” zwabiły do siebie Zygmunta Augusta, ile raczej kochanka jego, słynna z piękności i chciwości Barbara Giżanka, którą był w swoim czasie wykradł z klasztoru panien bernardynek w Warszawie pokojowiec królewski Mikołaj Mniszek i później wykorzystując jej podobieństwo do zmarłej królowej Barbary Radziwiłłówny, odstąpił królowi. Jak utrzymują nasi niektórzy powieściopisarze a nawet i historycy Mniszek przedstawił Barbarę Giżankę królowi w nader oryginalny a dramatyczny sposób. Oto gdzieś w zimie 1553 r. wszedłszy w porozumienie z mistrzem Twardowskim przedstawił Giżankę Zygmuntovi jako ducha zmarłej królowej. Uderzające podobieństwo Giżanki i odpowiedni nastrój wytworzony przez Twardowskiego sprawiły, że król początkowo uwierzył w możliwość wywołania ducha zmarłej. A i później, chociaż Mniszek wyznał mu prawdę, nie tylko nie rozgniewał się, lecz nawet podniósł dworaka do godności podkomorzego, obdarzając go w zamian za odstąpienie Giżanki licznymi godnościami i łaskami. Kochanka króla zamieszkiwała stale na zamku w Knyszynie, pod opieką królewskiej strazy. Do Knyszyna też często później wyrwał się kochliwy król, zaniedbując nie tylko królowę ale i obowiązki państwowe. Rzecz naturalna, iż o tym „sobolu” (jak król nazywał wszystkie swoje kochanki) swego małżonka, wiedziała dobrze opuszczona królowa Katarzyna przed którą król swe zbyt częste i długie wyjazdy do Knyszyna zapewne tłumaczył namiętnością do łowów i zdrowego powietrza dla poratowania nadwątlonego zdrowia. Mogła też królowa istotnie, dla odebrania Zygmuntovi Augustowi głównego argumentu wyjazdu na łowy do Knyszyna, polecić któremuś ze swoich zaufanych sług podpalenie lasów knyszyńskich. Od nich z kolei mogło zapalić się w czasie posuchy letniej i torfowisko.

Fakt palenia się bagniska musiał zapewne wyrzucić bardzo silne wrażenie na okolicznej ludności, która wówczas jeszcze nie знаła się na właściwościach opałowych torfu. Nic też więc dziwnego, że w związku z owym pożarem bagien wytworzyło się powszechne mniemanie, iż dzieje się to za sprawą diabłów i czarnoksiężnika Twardowskiego. Stąd zapewne powstało popularne wśród okolicznych chłopów powiedzenie: „Gdzie idziesz, diabło? — Błota palić! A będzie się paliło? — Będzie musiało!”. Stąd legenda o kopaniu Stawu Czechowskiego przez diabłów. Fakt podpalenia lasów knyszyńskich przez służbę królowej Katarzyny musiał być znany szeroko, skoro pionące bagno nazwano później Czechowizną.

Tyle można wysnuć domysłów związanych z tą legendą. Staw Czechowski powstał istotnie na skutek wypalenia się wielkich złóż torfu, znajdującego się niegdyś na północ od dzisiejszej Czechowizny, tam, gdzie łączyły się ze sobą rzeczki Nereśla, Tyrganka i Mokradunia. Rozległe torfowiska rozciągające się dziś na północ i północny zachód od stawu Czechowskiego, w sąsiedztwie rzeczek Nereśli, Tyrganki i Mokraduni wskazują, że niegdyś staw ten musiał być znacznie większy, a głębokość jego nigdzie nie przekracza głębokości zwykłej warstwy torfu.

Kiedy jednak miał miejsce pożar złóż torfowych w okolicy Czechowizny? Trudno jest ustalić ściśle datę, jednakże z całą pewnością wiadomo, że fakt ten miał miejsce za czasów panowania króla Zygmunta Augusta. Z polecenia tego króla zbudowano wówczas groble w okolicy Czechowizny, która spiętrzyła wodę na Nereśli, powiększając tym sposobem powierzchnię i głębokość stawu. Tama ta zaopatrzona w służbę istnieje do dziś i służy do regulowania stanu wody w stawie. Tamę oraz urządzenie całego Stawu Czechowskiego wykonano gdzieś na krótko przed 1561 rokiem, gdyż niektóre opisy granic włości knyszyńskiej i inwentaryzacja dworów poprzedzające tę datę, a znajdujące się w dawnej bibliotece Krasieńskich, mówią często o miejscu na rzece Nereśli, gdzie później założony został „Czechowski Staw”. Staw służyć miał do hodowli ryb, głównie karpi, linów i karasi. Dokumenty tejże samej Biblioteki mówią, że od 1561 roku przy stawie „Augusta” mieszkał osobny „stróż”, ziemi „włókę 1 trzymający”, który tam ustawicznie mieszka, dla „rozerwania stawu i dla kradzenia ryb”.



Rys. A. Pleśch



Narówni Pan Bóg daje — jednemu kurę, drugiemu jaje.

Co ludzie radzi słyszą, temu łatwo wierzą.

Trzymać kobietę za słowo, a piskorza za ogon — na jedno wychodzi.

Na wielkim panu i na starej poręczy nie opleraj się.

Przykszejsze lekarstwo czasem, niż sama choroba.

Wielkie rzeki cicho płyną.

Nie wychylaj dół dna, bo poruszyś męty.

Łaska pańska, gust kobiety, pogody jesienne — wszystko to odmienne.



PRZYSŁOWIA

(Pomorskie przysłowia ludowe z broszury J. Łyskowskiego: „Pieśni gminne i przysłowia ludu polskiego w Prusach Zachodnich”, Brodnica 1854).

Doliną Kościeliską w kierunku Hali Pisanej idą ludzie, którzy wysiedli z autobusu w Kirach. Kilka dziewczynek z wycieczki szkolnej, grupa młodych mężczyzn i kobiet. Na kamiastej drodze słońce, ukryte za chmurami, topi świeży śnieg. Jeśli obejrzeć się w tył, można zobaczyć czarne ślady, które zostają po każdym kroku, postawionym jeszcze na śniegu.

— Czy zmieniłaś rolę? — pyta jedna z dziewczynek. — Tak — odpowiada koleżanka.

Wyjmuje aparat z futerału i przystaje na chwilę, aby sfotografować urwiste zbocze o szarych nawisach skalnych. W ściany płytkiego żlebu wczepiły się młode świerki, gałęzie opadły lekko pod ciężarem okiści.

— Wie pani, na Pisanej jest bufet — mówi do swojej to-

warzyszki tęgi mężczyzna w czarnym stroju narciarskim i skórzanych trampkach.

Ludzie, idący doliną, patrzą przed siebie, a kiedy podnoszą głowy do góry, widzą strzępiaste kominy skał nad ciemnym zboczem regła.

Nikt nie odwraca głowy, aby spojrzeć w dół, na polanę, ciągnącą się wzdłuż zbocza, po lewej stronie drogi. Z białej piany śniegu wychylają się lilowe czółenka krokusów. Kwiaty są zamknięte, wąskie kielichy tworzą na śniegu wzory i linie, gęstnieją u stóp drzew, pas polany przy zboczu stał się liliowy, jak o późnym zachodzie.

Znajomy góral, idący ze mną, wskazuje ręką na polanę:

— Patrz — mówi — i pod śniegiem nie marznom, tyle co hań zamknęły się...

JAROSŁAW RUDNIAŃSKI



Rys. Andrzej Pielsch

SZCZĘSNY FRĄCKOWIAK CHŁOPSKA NEKROPOLA

Pompatyczny tytuł a w rzeczywistości drewniana budka przycupnięta wśród trawą porośniętych pagórków, pod osłoną bujnie rozrosłych krzaków, skulona pod smugami złośliwego deszczu.

Tak właśnie przedstawia się cmentarna kaplica w Ligocie Górnej, będąca jak gdyby przedmieściem Kluczborka. Dosłownie budka. Mniejsza to od zwyczajnej chaty, tyle że obok wysokiego, gontowego dachu wyrasta chuda wieżyczka. Wewnątrz za to mile rozczarowanie: ciasno tu co prawda, ale po pierwsze — deszcz nie leje za kark, po drugie — empora wsparta na wcale przymyślnie rzeźbionych słupkach i pozorne sklepienie z desek stwarzają wrażenie prawdziwej już kaplicy, a po trzecie — wszędzie na ścianach pełno epitafiów. Oczywiście żaden to renesans czy barok — ot, zwyczajnie, nieco ozdobniej wycięte deszczulki, z których wystają drewniane rączki, przeznaczone dawniej do osadzania w nich świec.

Kaplica cmentarna w Ligocie Górnej zachowała bez wątpienia największą na Śląsku liczbę ludowych, chłopskich epitafiów, na których nazwiska zmarłych oraz dewocyjne napisy świadczą niezbić o polskości mieszkańców tej ziemi. A nawet jeśli trafi się niemiecki napis, to i tak nazwisko mówi aż nazbyt wyraźnie o pochodzeniu owych Ślązaków-ewangelików spod Kluczborka.

Ale zacznijmy po kolei — to znaczy od samej kaplicy. Zbudował ją w roku 1787 cieśla Jan Kabata z fundacji sołtysa Adama Nowaka oraz ławników Adama Rosenblata i Jana Drobeka. Napis to urzędowy — niemiecki. Ale nieco wyżej nad nim (na paprapiecie empory) tak wymalowano:

Z Freigut Nieboszczik Simon
Wentzel Ducat darował
już obrócone na kohru.

(Chodzi tu zapewne o emporę czyli chór muzyczny).

A teraz epitafia. Jest ich 13. Najstarsze z r. 1708, najmłodsze z r. 1876. Przeszło półtora wieku, więcej niż sześć pokoleń tych, którzy uprawiali tę ziemię, a teraz leżą, tuż obok, pod porośniętymi trawą kopczykami. Z tych 13 epitafiów-tabliczek z rączkami-lichtarzami, tylko dwa mają napisy niemieckie. Reszta po polsku. Samych sentencji zresztą nie przytaczam, zainteresować mogą bowiem raczej pisownią niż treścią. Za to garść nazwisk upamiętnionych na owych tabliczkach: Maria Schodwozonka córka Jana Schodwocka i Marii Lipińszonki, August Nowok, Karlik Dudcok, Jerzy i Barbara Bragulowie, Zuzanna Matuszczocka, Gottlieb Kabitz, Zuzanna, Jan i Jerzy — dzieci Gottlieba i Roziny Gnoth, Gottlieb Drobek, Gottlieb Piolot, Wilhelm Dreschniok. Przy tym ostatnim nazwisku napis niemiecki — zarazem jest to nowe najmłodsze epitafium z r. 1876. 100 lat rządów pruskich dawało rezultaty.

Ligota to nie wyjątek. To raczej szczęśliwy przypadek, że w mało używanej kaplicy zachowało się tyle owych skromnych, deszczulkowych epitafiów — lichtarzy. Spotyka się podobne niemal we wszystkich kościołach tych okolic, ale już sporadycznie: po jednym, po dwa. Warto by — póki jeszcze istnieją — dokonać ich gruntownego spisu. Toć to dla dzieciów wsi opolskiej dokumentacja nie lada.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wspomnieć o jednym epitafium znajdującym się niezbyt od Ligoty odległym Bąkowie: jest ono starsze od ligockich — pochodzi bowiem z r. 1676, nie ma rączki-lichtarzyka, posiada natomiast malowane przedstawienie Ukrzyżowania z klęczącą postacią zmarłej. Wzbudza zaś szczególne zainteresowanie tym, że mimo iż jest epitafium szlacheckim, mimo, że poświęcone jest pamięci Elżbiety von Frankenberg — całe pokryte jest polskimi, naiwnie rymowanymi napisami.

Sądząc, że dawniej musiało być tego rodzaju epitafiów znacznie więcej.



Obok: polskie epitafium z Bąkowa pod Kluczborkiem, pochodzące z roku 1676. Oba zdjęcia T. Chrzanowskiego

Poniżej: kaplica cmentarna w Ligocie Górnej pod Kluczborkiem, gdzie znaleziono polskie epitafia chłopskie





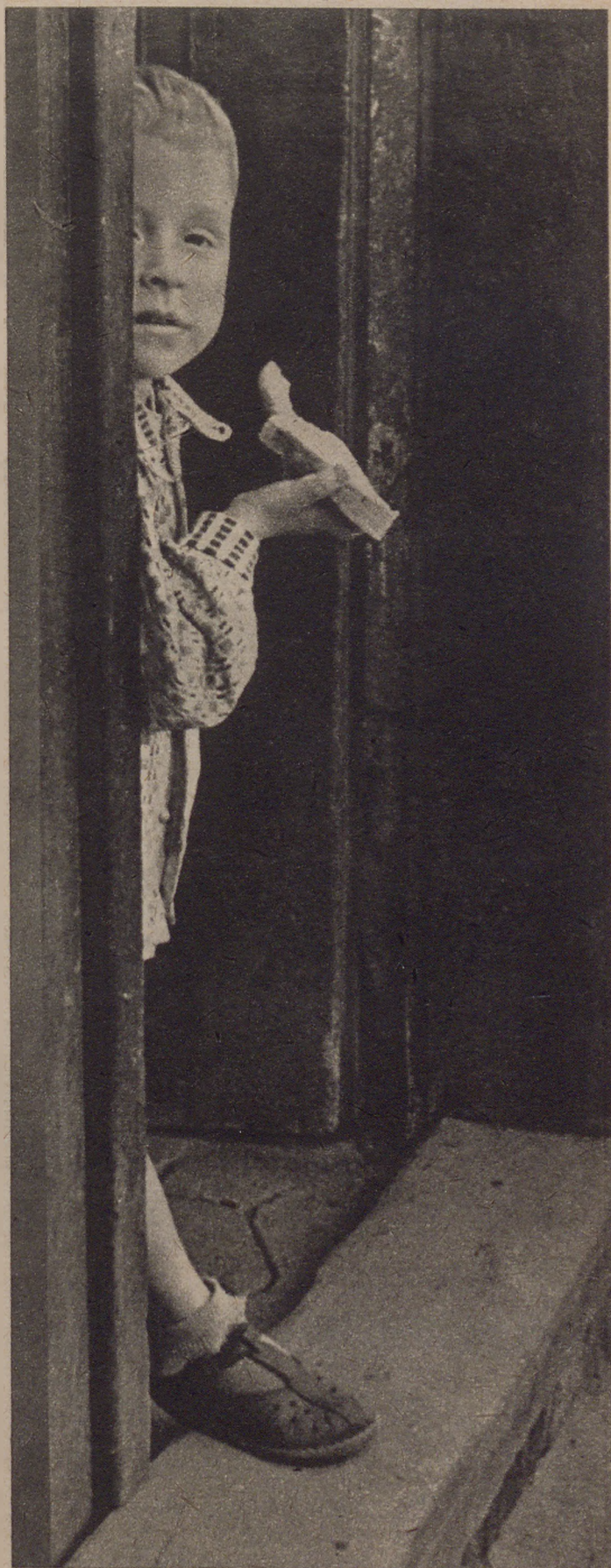
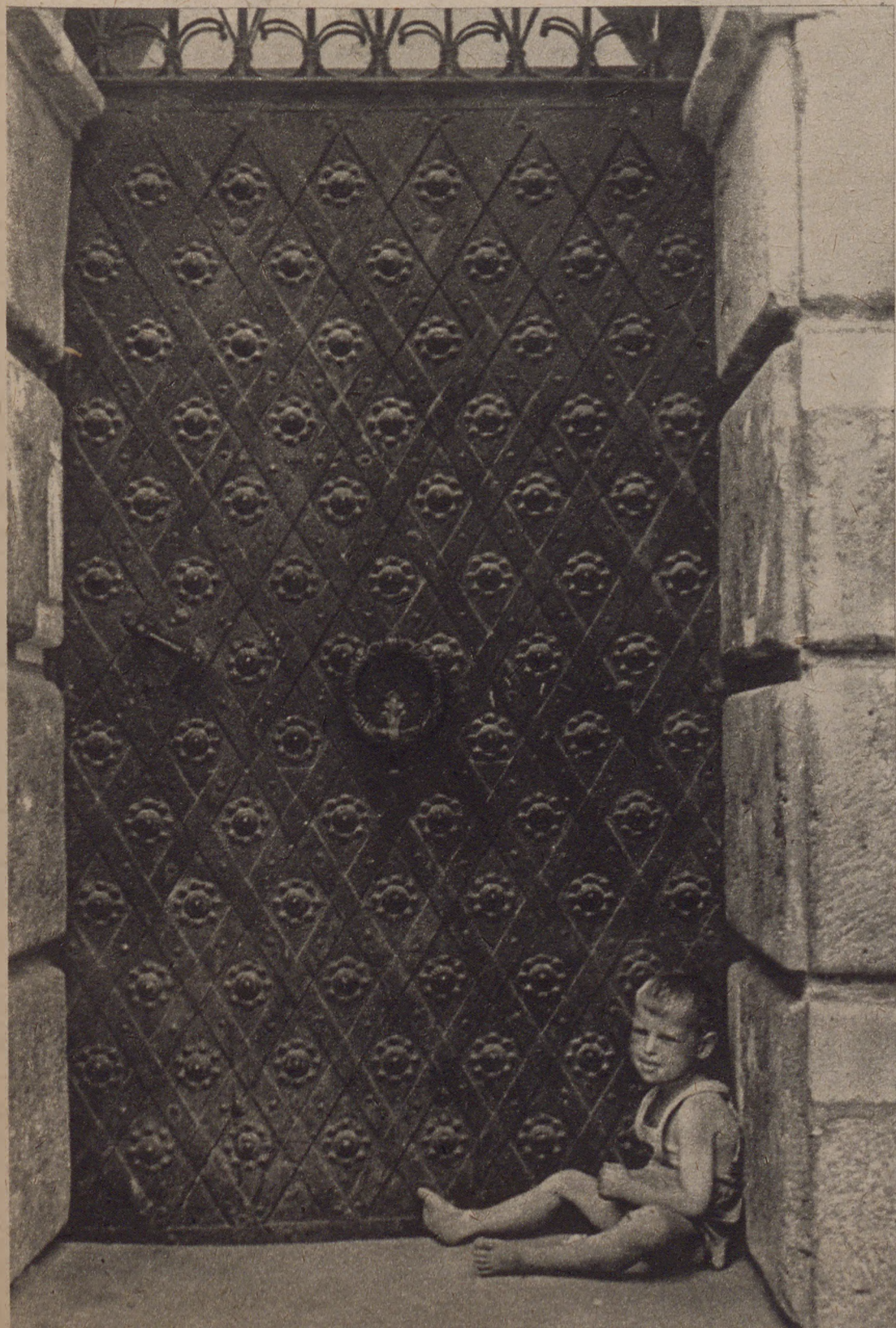


Gonia się po przegniłych schodach i staroświeckich ganekach. Wypełniają gwarem ciemne studnie podwórek. Kryją się w tunelach wilgotnych sieni, nad którymi wiszą tabliczki „Budynek zabytkowy. Wjazd wzbroniony”. Lecz nie interesują się historią budowli, w których bawią się i mieszkają. Dla nich średniowieczne dziedzińce są po prostu boiskiem piłki nożnej, stopnie zabytkowej kolegiaty — miejscem odpoczynku, a ozdobna nisza starodawnego portalu doskonałą kryjówką, w której spokojnie można zjeść kromkę chleba.

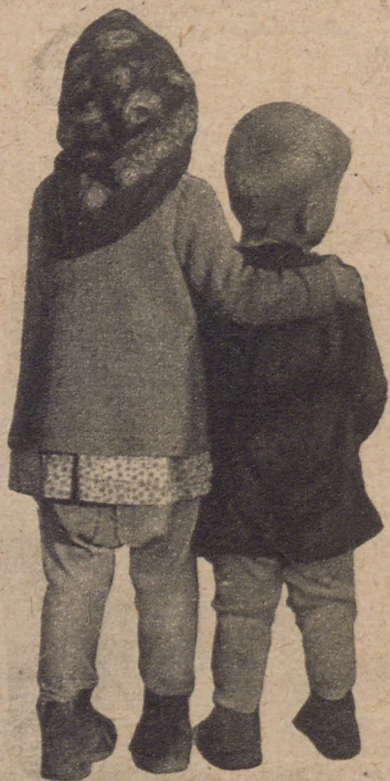
Gromadki małych, umorusanych dzieci, to bardzo charakterystyczny,

W CIENIU ZABYTKÓW

FOTOGRAFIE ZBIGNIEWA ŁAGOCKIEGO

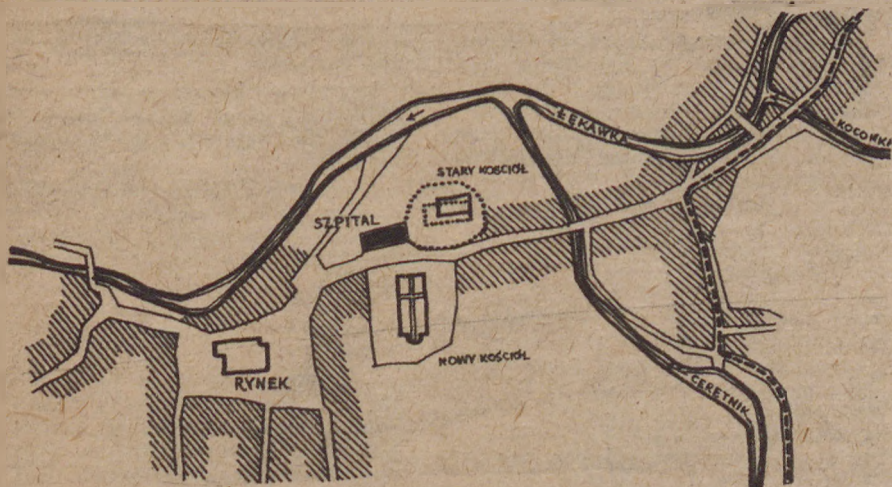


żywy element zabytkowych dzielnic naszych miast. Daremnie jednak szukalibyśmy go w luksusowo wydanych albumach. Fotograf cierpliwie czeka, aż zniknie mu z przed obiektywu ruchliwa dzieciarnia i dopiero wówczas wykonuje zdjęcie zabytkowej budowli. Tak więc brudni malcy nie zakłócają harmonii architektonicznej na reprezentacyjnych fotografiach. Nasz reporter nie czekał...

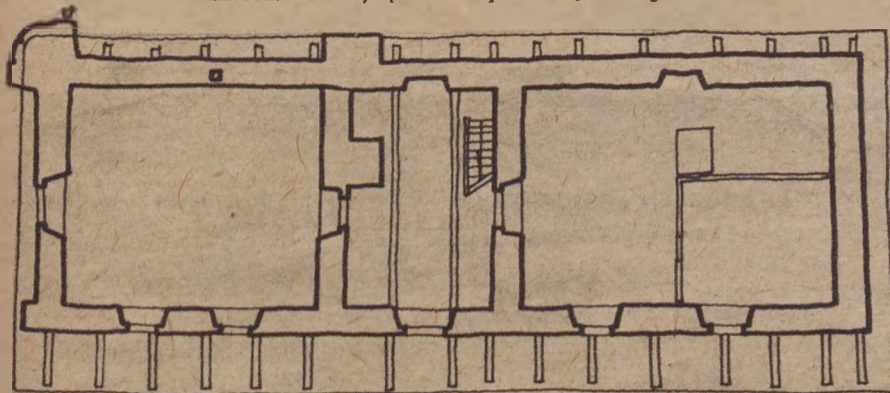


STAROPOLSKI

Historia dawnego szpitalnictwa w Polsce to mało znana dziedzina. Jeśli jeszcze szpitale miejskie mają pewną ilość opracowań, to o wiejskich literatura milczy. Wiadomości o ich ilości i podziale można się tu i ówdzie doszukać (np. u L. Wachholza — Szpitale Krakowskie, w Encyklopedii Staropolskiej), ale jeśli chodzi o ich rozmieszczenie a zwłaszcza architekturę, to o tym wiadomości zupełnie brak. Nawet inwentarze i Katalogi Zabytków zwykle pomijają milczeniem te obiekty. Dowodem mogą być szpitale tego rodzaju w Ślemieniu, Imbramowicach czy Liszkach. Szkoda że tak się dzieje, gdyż sprawa to ważna dla naszych dziejów i niezwykle interesująca. Są jeszcze po wszech dawne szpitale, a po plebaniach dokumenty ich dotyczące. Warto je odszukać i spopularyzować, póki istnieją. Umożliwiłoby to bowiem z czasem dokładne zbadanie dziejów i architektury wiejskich szpitali. Nieznany dotychczas XVII-wieczny szpital ślemieński i niepublikowany jeszcze nigdzie dokument dotyczący jego fundacji niech będą jednym z przyczynków do tej zaniedbanej dziedziny wiedzy.



Plan Ślemienia z umiejscowieniem starego szpitala. Wszystkie rysunki i zdjęcia autora. Poniżej: plan budynku szpitalnego



Fundacja hrabiny

Nikt na miejscu nie pamięta daty jego powstania. A w literaturze odnoszącej się do zabytków tego regionu nie ma o nim wzmianki.¹ W Ślemieniu, dawnym miasteczku a dziś wsi w powiecie żywieckim, naprzeciw fary stoi niski budynek, nakryty zwalistym przyczółkowym dachem. Pod okapem w deszczowe niedziele gwarzą ludzie. Nie wiele mogłem się od nich dowiedzieć o przeznaczeniu budowli. Dopiero Jan Bąk zdradził, iż czytał kiedyś na plebanii dokument, z którego wynikało że „budynek ma już kilkaset lat, że był to szpital” że ufundowała go „hrabina dla dziadków, gdy jeden z nich na weselu dobrze przyśpiewał”.

Czyżby podanie odnosiło się do tego właśnie budynku? Czyżby budynek miał naprawdę kilkaset lat? Ponad sto ma napewno, bo zaznaczony był na planie katastralnym z 1844 roku. Ale czy nie więcej? Trzeba było sprawdzić, odszukać dokument.

Copia erectionis

Wśród stosów dokumentów kościelnych z XVII, XVIII i późniejszych wieków, znalazła się wreszcie teczka z napisem „Szpital w Ślemieniu”. W niej zakurzone rachunki, regulaminy, sprawozdania, a w końcu wprowadzie nie ów poszukiwany dokument, lecz jego kopia z początku lub połowy XIX wieku, zatytułowana: „Copia erectionis Hospitalis pauperum Slemieniensis”.

Po krótkim łacińskim wstępie następuje tekst w języku polskim, który przytaczamy z uwspółcześnieniem pisowni:

„Katarzyna z Kumorowa Lacka, Marszałkowa Nadworna W-go X-twa Litewskiego /za łaską Pana Boga mego... pozwolona mi jest w dyspozycję moją Ojczyza majątność Ślemieńska/ dziękując Majestatowi Jego Boskiemu za dobrodziejstwa z hojnej Jego Świętej odebrane Ręki/ wystawiłam domek Szpitalny murowany przy kościele Ślemieńskim i wprowadziłam do niego piętnastu ubogich moich poddanych w roku 1655 /którym to ubogim biorąc ich na opiekę swoją zapisałam w Grodzie Oświęcimskim Summę złotych tysięcy/ od której summy Wyderkaff pókim żywa i onego dyspozycję w rękach moich własnych sobie zostawuję”.

Wyderkaffy

Wydaje się więc, że w chwili pisania tego dokumentu — tj. w jesieni roku 1655 szpital już istniał. Druga sprawa do wyjaśnienia, to suma złożona w „Grodzie Oświęcimskim” na „wyderkaf”. Ta instytucja prawna była w owym czasie bardzo rozpowszechniona, o czym świadczy spopularyzowanie tego wyrazu w formie słownej „wyderka”. Wacław Potocki poświęca temu nawet specjalny wiersz: „Na wyderkafy”, którego początek wiele wyjaśnia:

„Skarżą się w Polsce, co mi wielkim było dziwem, i, jeśli sejm takiego



Fragment panoramy Ślemienia z nowym kościołem i szpitalem

nie ujmie rozchodu, upewniają, że i ci muszą mrzeć od głodu. Aż one wyderkafy i za zmarłych dusze, zapisane na każdej niemal wsi fundusze...

Otóż wyderkaf (od niem. *Wiederkauff*) było to w dawnym prawie polskim kupno dochodów z majątku, przy czym dawny właściciel zostawał jako dzierżawca na majątku i miał prawo go odkupić. Ponieważ według rozpowszechnionej od średniowiecza teorii św. Tomasza z Akwinu pożyczanie pieniędzy na procent było niemoralne i chrześcijanom zakazane (stąd w dużej mierze okoliczność, iż tzw. lichwą trudnili się Żydzi), przeto chrześcijanie znaleźli na to inny sposób. Zawierano mianowicie umowę sprzedaży z prawem — a właściwie obowiązkiem — odkupu w pewnym terminie za sumę wyższą od pierwotnej. Wyższą właśnie o procent ukryty przeważnie w formie kary umownej za niedotrzymanie terminu odkupienia, specjalnie krótko określonego.

Zaopatrzenie ubogich

„Po śmierci zaś mojej sukcesorowie tych dóbr zarówno płacić będą powinni tak, jako szerzej zapis uczyniony opiewa. A naprzód od wyderkaffa /ten odebrany w Skrzynce Szpitalnej, która pod kluczem jednym Imci X Protektora a pod drugim Prowizora zostawać będzie/ tak iżby jeden bez drugiego przy bytności Soltysa i dwóch Przysiężonych nie otwierali. Pieniądze zaś te po to tylko obracać się powinny, co by z większym pożytkiem i szpitalną potrzebą było, co by jednak nad to zostawało między ubogich szpitalnych (należy) rozdać/ tak jednak, żeby potrzeby gwałtownej w Szpitalowej skrzynce zostawało. Do tegoż szpitala teraz i wiecznymi czasami naznaczam z majętności Ślemieńskiej a osobliwie z Folwarku i dworu Ślemieńskiego żywność tych ubogich taką: na każdą

ćwierć roku pensję, która corocznie zaczynać się będzie od Trójcy Świętej² obligując w tym sumiennie sukcesorów moich i tey majętności na potym dziedziców/ aby pod surowym karaniem Boskim i Straszliwym Sądem Jego temu szpitalowi oddawali.”

Tekst wylicza z kolei, co przebywający w szpitalu będą otrzymywać z fundacji w naturze. I tak: „żyta krakowskich ćwiertni 4, i korzec 1 (około 570 l) jęczmienia przedniego takieży miary ćwiertni 3, (około 396 l)” itd. „...Omasta zaś ze dworu na cały rok zupełny, taka im dochodzić powinna:

Mięsa peklowego połciów 6, sa-deł 4, masła fasek 4, syra kop 4, siemienia lnianego na olej ćwiertnią krakowską, soli becзка jedna (około 104 l), piwa achteli 4, (około 52,4 l), ogród dla jarzyny dałam im i krów 3, które z bydłem folwarcznym będą żywione/”... „...koszule i buty nowe jedne na rok, suknie zaś z prostego sukna i czapki na każde dwie lecie każdemu z osobna dawać obliguję się z sukcesorami memi wiecznymi czasami”.

Sposób zarządzania

„A że bez Rządu żadna rzecz w swej doskonałości bywać nie może, zaczęłam dla Rządu (po)czebnego w tym Szpitalu za Patrona i Protektora pomienionego Szpitalu ogłaszam i naznaczam Imci X. Plebana teraz i na potym będącego /który w pierwszy czwartek po święcie Trójcy Przenajświętszej Mszę Świętą odprawiwszy, na której ubóstwo szpitalne zebrane część żalonną Różańca Najświętszej Panny śpiewać będą powinni/ przybierze na siebie Soltysa i dwóch Przysiężnych Ślemieńskich i schadz-kę pospółstwa za pozwoleniem dworskim (u)czyni /obierając takiego z tamiecznych poddanych za Prowizora i Ojca Szpitalnego któryby cały Rząd, to jest opatrowanie każdodzi-

ne ubogich/ wybieranie Fundacyi Szpitalowi należących i onych szafunek miał w rękach swoich”.

Wtedy również prowizor miał składać rachunek z gospodarki, a proboszcz ślemieński wyposażony został w pełnomocnictwa do zmiany złego prowizora i naznaczenie „sposobniejszego”, oraz do dochodzenia szkód szpitalowi wyrządzonych. Może on starać się i domagać, by wszystko co zapisano fundacja stała otrzymywała. Za te starania pleban otrzymuje sumę 10 złotych „z wyderkaffu”. Natomiast prawo umieszczenia w szpitalu ubogich zostawia fundatorka przy swych następcach zobowiązując ich jednocześnie do baczenia, by nigdy w przytułku wolnego miejsca nie było.

W zakończeniu zaś dokumentu pani marszałkowa prosi Boga, by „dał tym moim bliźnim świętą cierpliwość i zgodę”, żeby się z nią i jej rodzinę modlili i wreszcie stwierdza:

„...co wszystko trzymać i ziścić pod surowym sądem Boskim i straszonymi karami Jego Obliguję się z Sukcesorami memi wiecznymi czasami. Dla lepszej zaś wagi i pewności ten skrypt przy przyłożeniu pieczęci podpisem ręki mojej stwierdzam. Działo się w dzień pierwszego września tysiącznego sześćsetnego pięćdziesiątego piątego roku”. Tu następuje raz jeszcze data cyfrowa i podpis.

Szpital czy dom starców ?

Zadziwia staranność i wszechstronne przemyślenie fundacji, która choć nie bogato przecież jednak wystarczająco zabezpiecza zaopatrzenie szpitala. Dokument mówi nie tylko o budowie samego szpitala ale i określa jego ustrój, dochody, uposażenia, zapewnia kontrolę, stara się zabezpieczyć przed nadużyciami, a nawet pragnie zapewnić mu trwałość na „wieczne czasy”. Mogło to być rezultatem wnikliwego przemyślenia fundacji, albo raczej wynikiem wzorowania się na innych tego rodzaju przedsięwzięciach. A pamiętajmy, że ten rodzaj szpitali nie należał wówczas do nadzwyczajnych rzadkości. Niestety, nie znając innego podobnego aktu erekcyjnego nie mogę przeprowadzić porównania.

W każdym razie dokument ten ma wielką wartość i dla historii kultury wsi i naturalnie dla historii szpitalnictwa w Polsce.

A teraz warto rozpatrzyć jeszcze pewien szczegół — określenie szpitala. W łacińskim wstępie do dokumentu użyto słowa „xenodochia”. „Xenodochia” czyli „hospitia” (stąd słowo hospital potem szpital) to

„przytułek czasowy lub trwały pod różnym”. A jak wynika z dokumentu również dla miejscowych. Nie było to więc miejsce wyłącznie dla „dziadków” jak głosi podanie, gdyż wtedy wymieniono by je jako „gerotrophia” lub „gerontocomia”. Nie chodziło tu również specjalnie o pomieszczenie ludzi chorych, gdyż nie ma wzmianki w dokumencie o lekarzu, lub opiekującym się szpitalem zakonnie. Był to więc typowy wiejski „szpital” w ówczesnym tego słowa znaczeniu zapewniający przytułek 15 potrzebującym opieki a nie zajmujący się leczeniem.

Szpital ślemieński nie był zjawiskiem odosobnionym³. Podobny na przykład znajdował się w Imbramowicach w powiecie olkuskim. Był on również kamienny, plan miał niemal identyczny i różnił się właściwie tylko dachem brogowym. W okresie międzywojennym został gruntownie przebudowany. Szpital ten fundowała również tamtejsza dziedziczka, Zdziarska, i to niemal w tym samym czasie⁴.

Dziś takie poszpitalne budynki są z całą pewnością unikatami. Ale wróćmy jeszcze do samego ślemieńskiego szpitala. Stał on tuż obok dawnego drewnianego kościoła, o czym mówi dokument, a potwierdza plan katastralny z 1844 roku. Zarówno to, jak miejscowa tradycja, jak wreszcie architektura budynku i analogia z Imbramowicami pozwalają stwierdzić, że istniejący do dziś budynek to ten sam który wystawiła marszałkowa Katarzyna Lacka w 1655 roku.

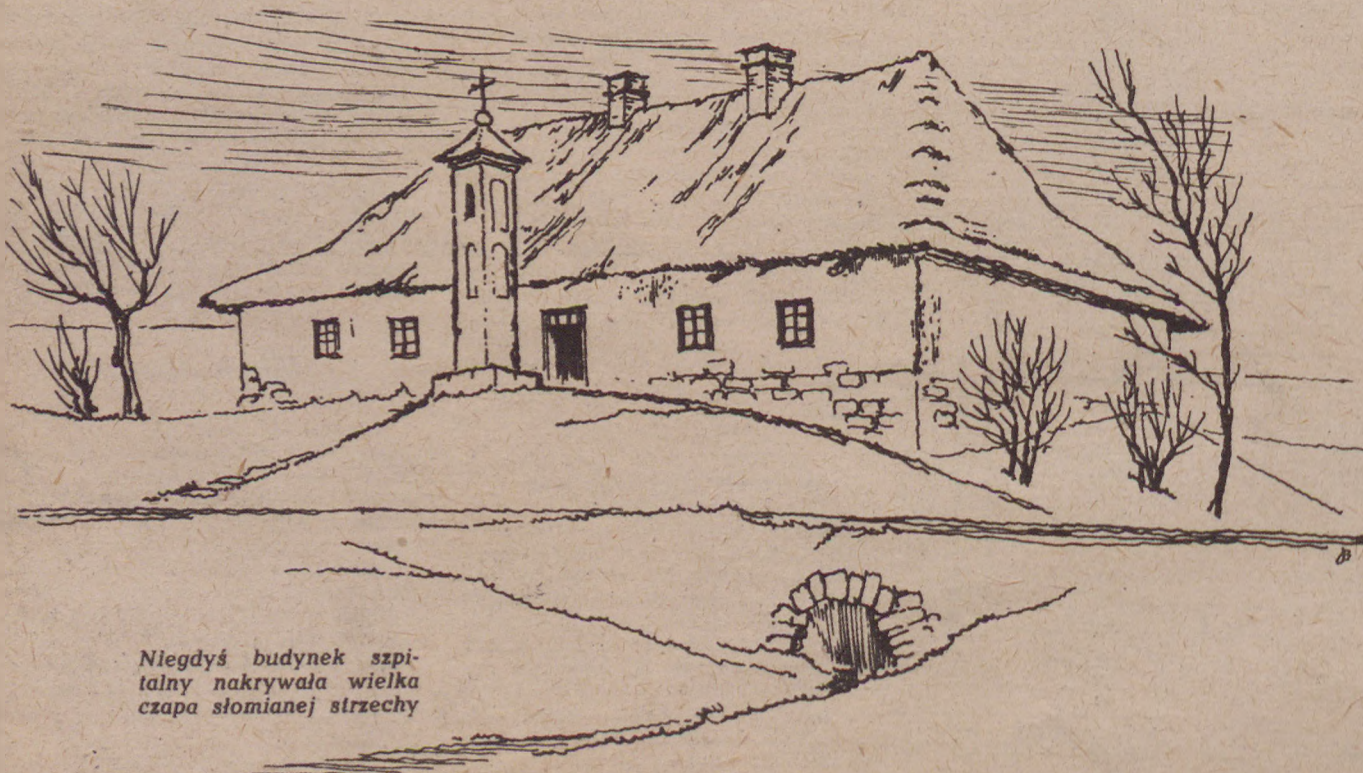
Jak spełniał on pierwotnie swoje przeznaczenie nie trudno się domyśleć. Sądząc z planu funkcja jego była prosta i chyba taka sama jak w ostatnich latach istnienia, to znaczy po jednej stronie sieni znajdowała się izba dla kobiet, po drugiej dla mężczyzn.

Degradacja zabytku

Jakie były dalsze dzieje szpitala? Są stare regulaminy, są rachunki i dokumenty, które trzeba by dopiero dokładnie przestudiować. W każdym razie w roku 1843 budynek był remontowany, a położone naprzeciw gruntu szpitalne oddano pod budowę nowego kościoła. Wzamięniamy za to szpital otrzymał pole gdzieindziej⁵. Swoją zaszczytną funkcję pełnił budynek niezmiennie od 1655 roku aż do ostatniej wojny. Dopiero Niemcy naruszyli stare 300-letnie prawo. Wyrzucili szpitalnych „dziadków”, a budynek zamienili na magazyn. Jest nim do dzisiaj.

Szpital w Ślemieniu wartoby jak najprędzej uznać za zabytek i uzupełnić nim katalogi i inwentarze zabytków.

1 września 1955 roku minęło 300 lat od jego fundacji i budowy. Może należałoby mu przywrócić dawną funkcję, której miał służyć „wiecznymi czasami”?



Niegdyś budynek szpitalny nakrywała wielka czapa słomianej strzechy

¹ Nie wspomina o nim ani Szablowski J. — Inwentarz topograficzny Powiat Żywiecki. W-wa 1948, ani tegoż Katalog zabytków Sztuki w Polsce. Powiat Żywiecki. Warszawa 1951.

² Dzień Trójcy Św. przypada na pierwszą niedzielę po Zielonych Świątkach. W r. 1655 — 23 maja.

³ Wachholz (Szpitale krakowskie. Kraków 1921) podaje, że liczba szpitali w diecezji krakowskiej wynosiła 14, w gnieźnieńskiej 32, w warszawskiej 51, w lubelskiej 9 itd. Razem w roku 1791 było szpitali w Polsce 497. Wcześniej według Gedroycia było ich 668 i dawały przytułek 5621 pensjonariuszom. Z liczb tych wynika, że nie było ich mniej niż w innych krajach Europy.

⁴ Informację tę i starą fotografię na podstawie której mogłem wykonać rysunek zawdzięczam prof. Z. Novakowi.

⁵ Według oryginalnego dokumentu w aktach szpitalnych, na plebanii ślemieńskiej.

Powracam tu do tematu o którym swego czasu wiele pisano. Rzecz jednak charakterystyczna — żaden z autorów artykułów negatywnie oceniających działania ekip ratunkowych, nie znalazł się w jaskini Zimnej podczas owej akcji wydobywania uwięzionego za syfonem nurka. Materiały do felietonów zbierali w zakopiańskich restauracjach. Było to niewątpliwie prostsze niż zapuszczanie się na głębokość kilometra pod ziemię.

Gdy zapadała wokół cisza, gdy przestawały szczerkać kamienie i milki zachryple głosy, wówczas poprzez warstwę mokrego puchu słyszałem pojedyncze kapnięcia. Miałem zamknięte oczy i głęboko nasunięty na czoło kaptur śpiwora, nie mogłem nawet widzieć, jak zimne krople zawisały na skalnym grzebieniu u stropu korytarza, jak jedna po drugiej nabrzmiewały sącząc się ze ścian wilgocią i spadając. Można było tylko słyszeć ich uderzenia o materiał. Nie było gdzie się przesunąć, z lewej — ściana pokryta wodnistym błotem, z prawej, tuż za okapem wnęki — przechodziły raz po raz czyjeś rozmoknięte buty wykoślawione na ruchomych piarżyskach, rozczłapano w jeziorach. Wraz z nimi przesuwał się rozkołysany płomień lampy, budzący żółte lśnienia na oczach. Po chwili było znów ciemno. Nie robiło to żadnej różnicy, oczy i tak miałem zamknięte. Ułożyłem się na wznak.

Wchodzenie do śpiwora nie było przyjemne. Ściągało się błotniste kombinezon, a gumowe buty wkładało pod głowę. Po zasunięciu błyskawicznego zamka wilgotny okład ścisnął całe ciało. Za chwilę puch rozgrzewał się. Było już zupełnie ciepło i można by zasnąć. Kiedy jest ciepło, łatwo zapomnieć o wszystkim. Było ciemno i pod zamkniętymi powiekami nie ukazywały się żadne obrazy. Wtedy zaczynały ugniatkać kamienie. Pod łopatką pojawiało się kamienne ostrze i przez warstwę puchu wciskało się w żebra. Można by to znieść, wystarczyło drobne przesunięcie w prawo, ale wtedy narażało się na ucisk wytoczonej płynącą wodą buty, tkwiącej pod krzyżem. Zresztą najlepszy był zupełny bezruch; jeśli nie porusza się nogami, przestaje się odczuwać dotyk mokrych szmat, mięśnie obejmują bezwład, drętwieją stopy.

W dłoni trzymałem słuchawkę telefonu polowego, przyciskałem ją do ucha. Telefon łączył nas ze światem. Słyszało się w nim wszystkie rozmowy prowadzone z włączonych na długiej linii aparatów, — otwór jaskini, schronisko, Kiry, placówka WOP.

Gdzieś tam słuchawka leżała przy grającym radio. Stłumione dźwięki calypso... zachmurzenie umiarkowane... godzina szczytu...

Przez nieszczęsne zapięcie wsąca się strużka chłodu. Zawinąć się, czy lepiej nieporuszać wogóle? Pojedyncze krople spadają na zmoknięte płótno. Pod czarnymi powiekami srebrne światła...

— Hallo syfon! Hallo syfon! Tu baza! tu baza... Hallo, syfon!

— Tak, słyszę, tu syfon! tu syfon!...

Pokaleczonymi palcami, na których zaschły grudki błota, wyszukuję w wilgotnych faldach śpiwora upuszczoną słuchawkę. Przyciskam ją do ucha:

— Słucham! Słucham! Można mówić!

Przewracam się na bok. Ustaje ucisk pod łopatką, lecz biodro trafia na skorupę kalcytu. Śpiwór zsuwa się z głowy i krople rozbry-

zgują się na czole, na obejmujących słuchawkę palcach.

— Hallo syfon, wysyłamy żywność i suchą bieliznę! Hallo syfon...

Z daleka, po mokrych drutach, po dwóch czerwonych przewodach, splątanych i poskręcanych, utopionych w błocie, wdeptanych w kałuże, wiszących na skalnych występach, przyciśniętych piramidkami kamieni, napływa labiryntem korytarzy w głąb jaskini, do zanurzonej w mokrym śpiworze ebonitowej słuchawki zmacona trzaskami melodia. W wilgotnym materiale grzezną bez śladu dźwięki muzyki. Uginają się gumowe buty wsunięte pod głowę.

Trzydzieści godzin na nogach, godzina w śpiworze... Gorąca herbata, kłęb pary z menażki... Tutaj ludzie muszą jeść i odpoczywać. Tamten za syfonem może tylko czekać, nie wolno mu spać, nie ma co jeść, musi zachowywać cierpliwość. Godzina w śpiworze ze słuchawką przy uchu, rozmazane kształty melodii, kapnięcia kropel na materiał... Zamykasz oczy, przecierasz palcem rzęsy oblepione bryłami błota, chcesz się pogrążyć w mroku, zaciemnić wyobraźnię, rozproszycie myśli... Zaczynasz drzeć i już... już idziesz gdzieś szeleszcząc mokrym kombinezonem, w butach pełnych bulgoczącej wody, kołyszac lampą na żelaznym haku. Rumowisko wznosi się kruchą pochyłością, szczelina zwęża się i już przepychasz się między dwoma skalnymi murami, grunt pod nogami kończy się pionowym obrywem — zawisasz nad czarną rozpadliną, sypią się do niej bryłki błota z podeszew, z dołu powraca odgłos gęstych pluśnięć. Zapiersz się plecami o jedną płytę skalną, nogami odpychasz drugą, jakbyś chciał je rozewrzeć, i mozołnie brniesz naprzód. Wyszukujesz wkleśnięcia i stopnie dla butów, plecami chłoniesz całą wilgoć wapiennej ściany powleczonej błonką gliny. Zaciskasz palce na uchwycie lampy, niesiesz ze sobą swoją bańkę światła, tkwisz w jej środku wraz z płatem czerwonej ściany, a przed tobą i za tobą gęstnieje noc, w dole pod stopami tkwi nieruchomo przyczajona tafla wody. Posuwasz się zwolna, metr za metrem, do niewielkiej półeczki, wypełnionej przejrzystą kałużą, gdzie można przysiąść, oprzeć się ramieniem o skałę, opuścić nogi. W dole, w oparach mgły, w żółtym półmroku, ubierają się nurkowie. Pochylasz się i wprost pod sobą, między luźno zwieszonymi stopami, widzisz opięte w gumę postacie. Ktoś wspina się ku górze, podaje ci do trzymania plecak; w dole, na wąskiej grobli między dwoma jeziorami, nie ma miejsca.

Przez brezent wyczuwasz dotykem płaskie szkło masek i elastyczne płetwy, opierasz worek na kolanie, wbijasz hak lampy w rozpadlinę — i czekasz... Od wielu godzin wciąż czekanie. Chciałbyś coś zrobić, przyspieszyć działanie! Nic z tego. Chcesz szybciej podawać wiadra? Szybciej poruszać pompą? Chcesz, by woda tryskała nieustającą fontanną, jezioro wrzało oddechami nurków? Popatrz na zgaszzone spojrzenia, włosy spadające na

czoło, na obrzmiałe palce, obwisłe szmaty kombinezonów i... czekaj! Czy nie wiesz, ile czasu trzeba rozplątywać, ile paznokci trzeba połamać, by rozsypać zaciśnięty mokry węzeł na sisalowej linie? Ile rozdrapać dawnych skaleczeń, ile otrzymać nowych obtarć, by dokręcić gwinty nieszczęsnej żelaznej lampy? Ile trwa przeprawa każdego człowieka nadchodzącego do akcji przez łańcuch zdradliwych jezior, jeśli nie chce się być odrazu na początku przemoczonego po szyję — czy nie wiesz? Czy nie wiesz, że czas tu przestaje istnieć, nie tylko dla ciebie: dla każdego! Każdego, kto wyżyma skarpetki przysiadłszy na glazie... kto czołga się pod nawisłymi nad czerwoną gliną ostrzami wapienia, wlokąc za sobą zwoje gumowych węży, skrzynki karbidu, — nic tu nie zmienisz, nic nie przyspieszysz!

Godzinami tkwimy po kolana w rozmiękłym błocie, stopa ośok stopy na szeroko rozstawionych nogach. Kolana od wielu godzin ochlapywane wciąż świeżą wodą, znieczuliły się na zimno, na uderzenia.

— Uważaj, jak podajesz! Wyżej szybciej...

Puste wiadra z łoskotem zagarniają wodę. Stoimy, pochylivszy obolałe grzbiety, z nogami grzęzną-



cymi w błocie... po stopach w czarnej gumie płynie z powrotem, w dół grobli, zmacona strużka. Przymykamy oczy, a dłoń zawsze w tym samym miejscu napotyka drugą dłoń podającą wiadro... Para z oddechów przepływa mglistymi obłoczkami. Pod ścianą stoją przygasające lampy.

Palce zaciśnięte na drewnianej dźwigni pompy, obolały grzbiet. Raz-dwa, wolniej, jeszcze raz, jeszcze, w przód! do tyłu! raz-dwa, zmiana? Trzymasz? Nie wolno przerywać, uwaga! puszczam, raz-dwa... A ty? czemu jeszcze tu stoisz, czemu nie leżysz? Padasz na nos, połóż się na chwilę, włącz do śpiwora... oczy ci się zamykają... czy słyszysz? Trzydzieści godzin, połóż się, nie myśl o nim... włącz do śpiwora... on tam wytrzyma...

Kroplista rosa na czole, krople na nosie — to nie pot: z pompy try-

ska pulsująca fontanna, krople na policzkach... raz-dwa! Mokre ręce parują smużkami dymu, obtarte palce zwisają bezwładnie, twoja kolej... hej, ty... zbieraj się... Twarze toną w żółtawym mroku, głowy spuszczone.

— Hallo, tu sy... co? ach, to ty! co? wstawać? już? co jest? poziom opadł, mówisz? która to już próba... czwarta czy piąta? może wreszcie się uda! z pewnością tak będzie... już wstaje!...

Szarpię zamek, przesuвам go ku dołowi... jeszcze trochę, jeszcze... zaczyna się, ech, wyjdę tak. Już stoję na mokrych kamieniach, widzę, że zimny przeciąg podchwytuje z ust obłoczek pary, już wciągam błotniste rękawy, powlekam się oszligłym lachmanem kombinezonu. Świeża wilgoć przesącza się na brzuch, za kark wpadają grudki mazi z oblepionego kołnierza. Już wciągam buty, pakuję gołe palce w wydartej skarpecie do zimnej gumy, do chlupiącej na dnie wody. Już chwytam lampę, już ruszam wielkimi krokami po chwiejnych kamieniach...

Korytarz podnosi się ku górze, wkraczam między dwie skalne płyty, w ukośną szczelinę. Przerywamy czerpanie. Rozjaśnić lampy, miejsce dla nurków... Woda opadła o blisko trzy metry, to wystarczy by podjąć ostateczną akcję, by nurkowie przepłynąwszy syfon znaleźli grunt pod nogami. Ludzie-żaby taplają płetwami w błotnistej wodzie. Z błękitnych zaroszonych butli spływają mętne strużki, mokrymi palcami odkręcamy mosiężne zawory, słuchamy świstu uciekającego powietrza. Mokrymi palcami trzymamy linki bezpieczeństwa, gdy miękko wysuwają się ze zwojów ciągnięte przez wkraczających do wody nurków. Woda sięga im do kolan, pasa, piersi, już można się zanurzyć, pochylają głowy i znikają w syfonie, tylko linki suną równo i jednostajnie naprzód. Stop! Już są po tamtej stronie, stają w niegłębokej wodzie, podnoszą maski, wypływają ustniki, już przystępują do pracy. Wstrzymujemy oddechy, przerywamy rozmowy. Poruszenia linek mówią mokrym palcom o wszystkim, co dzieje się po tamtej stronie. Delikatne szarpnięcia, pociągnięcia do przodu, zluźnienia, drobne drgania i długotrwałe napięcia. Para kłębi się w korytarzu, pachnie rozmokła glina. Już zaraz, lada moment, nadbiegną po sznurze trzy szarpnięcia. Chwycimy go wówczas w kilka dłoni, zaprzemy nogi w grząskim błocie i równo, razem pociągniemy. Linka ułoży się szerokim zwojem. Oczy utkwimy w toni jeziora, pod odległą ścianą, tam gdzie znika linka, skąd za chwilę, po czterdziestu pięciu godzinach akcji, wypłynie ciemny kształt. Uniesiemy go z błota, podtrzymamy, zdejmujemy maskę i ujrzymy błady uśmiech zarośniętej twarzy.





O ŻYCZENIACH LISTONOSZY I HISTORII POCZTY NA WESOŁO

Do stałych, co roku składanych życzeń noworocznych zaliczałem w domu moich rodziców we Lwowie, a następnie już w moim, życzenia listonosza i kominiarza. Życzenia listonosza, którego przez cały rok serdecznie witano, choć nie zawsze przynosił wesołe i pogodne wiadomości, poparte były jeszcze kalendarzykiem z życzeniami noworocznymi, mniej może od serca płynącymi, ale za to bardziej kwiecistymi i przyobleczoneymi w formy rymowane.

Zwyczaj składania życzeń noworocznych przez personel pocztowy nie jest bynajmniej nowy. Na Nowy Rok posłańcy miejskich urzędów pocztowych Gdańska, Wrocławia, lub innych miast chodzili z życzeniami, przy czym połowę otrzymanych datków dzielili między siebie, połowę zaś przeznaczali na różne cele, zwłaszcza na zapomogi dla chorych posłańców, względnie dla rodzin po posłańcach.



Drewniany kościół w Polonii



KOŚCIOŁY

W XIX w. gdy poczty na ziemiach polskich, a więc Księstwa Warszawskiego, Królestwa Polskiego, dalej poczty zaborców wprowadziły „bryftrygierów”, później zwanych listonoszami, oni to już składali życzenia noworoczne mieszkańcom swego regionu. W Galicji listonosze wraz z życzeniami noworocznymi rozdawali broszury kilkunastostronicowe, które nosiły różne tytuły, jak: „Książeczka pocztowa od c. k. listonosza”, „wiązanka — humorystyczny noworocznik pocztowy na rok... poświęcony szanownej publiczności przez c. k. listonosza we Lwowie” itd. Książeczki te zawierały życzenia zaopatrzone tytułem: „Z powinszowaniem Nowego Roku”, dalej część informacyjną, a więc przepisy pocztowe, taryfę, rozkład jazdy poczt (w czasach, gdy jeszcze nie kursowały

pociągi), oraz część anegdotyczną, jak ballady, humoreski, wierszyki i opowiadania.

W noworocznej książeczce z 1855 r. między innymi wydrukowano w humorystycznym ujęciu „Wynalazek poczt”, a ponieważ dziejami poczty społeczeństwo nasze zaczyna się coraz bardziej interesować, w bieżącym zaś roku przypada 400-lecie poczty polskiej, nie zaszkodzi przytoczyć i tę, oglądaną w krzywym zwierciadle, historię poczt:

„Podania starożytne oparte na najpewniejszych źródłach dowodzą, że Adam pocztą z Raju wyjechał, była to zapewne poczta Niebieska, bo o pierwszej poczcie ludzkiej mamy wiadomość, że Syloch trzeci faraon Egiptu, na 200 lat przed urodzeniem Abrahama ustanowił pocztę wozową, rozwozącą listy na wielbłądach, co środa i piątek z Mem-



W r. 1547 były tak upowszechnione, że Basilius Valentinus pisze „od ustawicznego trąbienia pocztylionów, ogłuchłem zupełnie, że nawet głosu mej żony usłyszeć nie jestem w stanie”. W Polsce zaprowadzono poczty około roku 1646. A lubo telegrafy odebrały czynność pocztom jednak dopóki pieniędzy po drucie nie będzie można przysłać Bryftrygierowie zawsze będą miłymi gośćmi dla każdego”.

A jakkolwiek dzisiaj pieniądze można przysłać „po drucie”, nie mniej „bryftrygierowie” — zwani obecnie doręczycielami — „miłymi gośćmi dla każdego” pozostali nadal.

**Franciszek
Jakubowski**

phis do Gazy. Ze poczta znana była Izraelitom rzecz dowiedziona, bo Heli odebrawszy list z czarną pieczęcią, oznajmujący o śmierci syna w przytomności Bryftrygiera spadł z szeszlona i skonał; a Jerycho pocztylionowie zdobyli. Grecy zaś po wynalezieniu przez Fenicjan papieru i laku przysyłali listy do Egiptu co niedziela (która u nich była dniem powszednim) przez pocztylionów którzy mieli nazwę hippografos, co dowodzi, że to była poczta konna. W Rzymie dopiero Juliusz Cezar po przejściu Rubikonu zaprowadził kurierkę, a w trąbki zaopatrzył pocztę Tylli, który w zdobytym Magdeburgu znalazłszy ogromny gmach napelniony trąbkami, nie wiedząc co z nimi robić rozdał je pocztylionom.



Nysował Janusz Smólski



Kiedyś, na długo przed ostatnią wojną, nieznany mi fotografik wykonał piękne zdjęcie śląskiego drewnianego kościółka: oto zwarta, szeroko rozsiadła budowla otoczona sobotami, nakryta piętrzącymi się dachami obitymi gontem, z charakterystyczną dzwonnica o ścianach pochylonych z nadwieszoną izbicą, zwieńczoną wyniosłym baniastym hełmem barokowym z latarnią. Bryle kościoła ostry światłocien dodaje plastyki, nastrój obrazu pomnaża jakieś drzewko obrzucone wiosennym kwieciami — całość niezwykle malownicza. Toteż zdjęcie zrobiło swoistą karierę: było publikowane w szeregu książek, głównie wprawdzie naukowych; znalazło się też na kartach czasopism, na okładce jakiejś broszury o treści religijnej, wreszcie rysunek wykonany na jego podstawie wydany został jako pocztówka świąteczna. W niektórych wypadkach nawet nie podpisano, że ilustracja przedstawia kościół w Ruptawie.

Cieszą oko znawcy i miłośnika piękne, oryginalne i malownicze kościoły drewniane, reprodukowane w starych fotografiach, coraz liczniejszych i lepszych publikacjach. A jednocześnie niszczone i przepadają jeśli jeszcze nie ostatnie, to może już przedostatnie budowle — dzieła ciesiołki, sztuki tak doskonałej w dawnej Polsce.

Już dawno historycy sztuki, architekci, etnografowie i plastycy dostrzegli i zrozumieli wartość zabytków dawnego polskiego budownictwa drewnianego. Jest rzeczą wiadomą, że ich swoiste piękno urzeka nie tylko Polaka, ale cudzoziemców, którzy dziełami dawnej ciesiołki zachwycają się znacznie bardziej, niż niejedną wątpliwą nieraz atrakcją, którą chcemy zaimponować zagranicznym gościom.

Ale oto przenosimy się do Ruptawy.

Jest deszczowy dzień jesienią 1957 roku. Z rozczarowaniem patrzymy na czerniejący masyw drewnianego kościółka: otoczenie zaniedbane, dachy nadniszczone, miejscami świeżące dziurami, ściany pochylone. Aby wejść do wnętrza wystarczy odrzucić cegłę, podpierającą belkę przypartą do drzwi. Wnętrze mroczne i opustoszałe, ołtarze pokryte grubą warstwą kurzu, częściowo pozbawione obrazów. Wiatr szarpie ramami okien, pobrzękuje szybami... W zakrystii miarowo spadające ze stropu krople rozpryskują się na podłodze tworząc sporą kałużę. — Zresztą nie jesteśmy tu sami, za nami wszedł do wnętrza starszy mężczyzna.

— Czy myślicie o remoncie drewnianego kościoła? — spyaliśmy. Odpowiedzią było wrzucenie ramionami i wymowne spojrzenie poprzez drzwi na widniejący opodal okazały nowy kościół, niedawno ukończony, który dominuje swą bryłą nad okolicą, stanowi obiekt jedynych zainteresowań i dumy parafian.

Jak się później skądinąd dowiedziałem, stary kościół, którego rozbiorce sprzeciwia się konserwator — niszczyli oczekując na reflektanta, który zechciałby przenieść go do innej miejscowości, wybawiając w ten sposób wieś z kłopotu.

Inna miejscowość: Nieboczowy. W centrum wsi zbiegają się trzy drogi. A w ich przecięciu wznosi się mały, malowniczy kościółek. Urozmaicona bryła zwieńczona dwoma sygnaturkami, o ścianach osłoniętych wydatnymi zadaszeniami, otoczona tuż przy ścianach płotem, odgradzającym zabytek od obiegających go bezpośrednio dróg. Zatrzymujemy się, podziwiając zabytek i jego oryginalną sytuację w układzie urbanistycznym wsi. Ale i tu nie jesteśmy sami: zbliżają się miejscowi młodzieńcy, pogardliwie komentując nasze zainteresowanie zabytkiem.

— Może kupicie sobie ten kościół? — pyta ktoś wśród ogólnej weso-



Zabytkowy kościółek w Ruptawie

łości. Jakaś nadchodząca starsza kobieta tym samym niechętnym tonem zapytuje, kiedy wreszcie kościół zostanie stąd zabrany, jest tu nie potrzebny. Nie czujemy się kompetentni do udzielenia odpowiedzi na zadane pytanie, dziwiąc się jednak niepomiernie, iż padło ono z ust osoby starszej, którą wyobraźnia chętnie łączyłaby z przywiązaniem do starego kościoła.

Mocniejsze pchnięcie przez kogoś obznajmionego i drzwi umieszczone w ładnym profilowanym portalu o wykroju w kształcie dwulucza, ustępują. Ale nie warto wchodzić do wnętrza, które jest martwe i puste.

— Jeżeli konserwator jest zainteresowany kościółkiem, niech da na remont pieniędzy — brzmi oficjalne oświadczenie. — Nabożeństwo w nim dawno się nie odprawia. Parafia ma na głowie remont kościoła z roku 1930, który jest też zniszczony.

NA SPRZEDAŻ!

TEKST I ZDJĘCIA MARIAN KORNECKI

Kościół wiejski w Nieboczowych



Wreszcie przykład trzeci.

Zbliżając się do Polonii myślałem, że stary kościół już nie istnieje. Ale nie, mimo, iż w sylwecie wsi dominuje masyw nowiutkiego kościoła, w grupie zieleni odnalazła się poczerwiała, gontem pokryta świątynia z XVI wieku, z wieżą o wysmukłym hełmie. Wprawdzie kluczy do wnętrza nie wydadzą tu byle komu, ale stan kościoła jest prawie katastrofalny. Wnętrze zawiera jeszcze prawie całkowite wyposażenie z nienajgorszymi rzeźbami i obrazami, lecz ściany wychyliły się znacznie z pionu, pokrycie zniszczone, a co najgorsze, budynek został zaatakowany przez grzyb, który rozwinął się zastraszająco. Gdy nieostrożnie wyszedłem na emporę, mieszczącą niegdyś łożę kolatorską, uczułem jak ustępują pod nogami nadwątlone deski podłogi. Zdążyłem jednak uskoczyć.

Na tych trzech fragmentach z objazdu zabytków powiatu wodzisławskiego należałoby poprzestać i sformułować odpowiednie wnioski. Ale sprawa nie jest taka prosta, jak się pozornie wydaje. Dlatego nie wdając się w szczegóły, chciałbym uchwycić problematykę tematu tak, jak się ona aktualnie zarysowuje:

Utarło się przekonanie, że zły stan zabytków w Polsce zawdzięczamy biedzie. Zgoda. Ale np. taki powiat wodzisławski należy do najzamożniejszych: uprzemysłowieniem, budownictwem, komunikacją, a może i motoryzacją wyprzedza inne dzielnice kraju. We wsiach nie ma już dawnych chałup, zastąpiła je nowa, wylącznie murowana zabudowa. Prawie co druga wieś szczyty się wielkim kościołem, wzniesionym w ostatnich latach. Za to zabytków budownictwa już właściwie nie ma; zostało kilka niszczących kościołów drewnianych (z nich jeszcze tylko jeden użytkowany na cele kultu). Na utrzymanie zabytków nikt nie ma i nie da żadnych pieniędzy. A więc paradoksalne pytanie: czyżby zamożność sprzyjała niszczeniu zabytków?

Już od pewnego czasu zarysowuje się w skali ogólnokrajowej problem nieużytkowanych starych kościołów drewnianych w miejscowościach, gdzie ostatnio wzniesiono nowe murowane świątynie. Stare kościoły bywają z reguły ogolone ze wszystkiego, pozbawione opieki, a odpowiedzialność za ich utrzymanie przerzuca się na władze konserwatorskie. Dlaczego parafie nie są zainteresowane utrzymaniem starych kościołów, a ludność wierząca nie jest do nich przywiązana?

Wciąż jeszcze istnieją szerokie rzesze społeczeństwa, które nie doceniają i nie chcą docenić znaczenia zabytków kultury narodowej. Zły smak, gigantomania, pretensjonalne ambicje i fałszywy wstyd rzekomego zacofania w stosunku do wszystkiego co „stare” z jednej strony, a obojętność i obskurantyzm z drugiej — stwarzają atmosferę wroga ochronie dorobku kulturalnego. Z takimi ludźmi „przegramy” zabytki w Polsce. Wczoraj właściwie straciliśmy pałace i dwory — pomniki architektury narodowej, jutro stracimy ostatnią wiejską zabytkową chatę. Dziś zaczynamy „pozbywać się” starych kościołów drewnianych.



KRAJOZNAWSTWO W HARCERSTWIE

JANUSZ ANDRUSIKIEWICZ

Już od pierwszych chwil istnienia odrodzonego Związku Harcerstwa Polskiego, tj. od grudnia 1956, harcerski korpus instruktorski musiał walczyć z nieprzeciętnymi trudnościami natury pedagogicznej. Młodzież odziedziczona przez ZHP po minionej epoce przedstawia dla wychowawcy materiał niezwykle trudny, wymagający dobrze przemyślanych i nieszablonowych metod oddziaływania. Odnosi się to zwłaszcza do młodzieży starszej, która — zawiedziona na ZMP i przepojona sceptycyzmem — stoi dziś wyraźnie od wszelkich form

zrzeszania się, a pozyskana przez jakąkolwiek organizację — nie daje się zbywać sloganami. Żąda konkretnych i to konkretnych atrakcyjnych, zdolnych zainteresować, zabrać, nauczyć.

ZHP odznaczał się zawsze szczególną cechą: zdolnością szybkiego przystosowywania się do różnych warunków, w których przychodziło mu prowadzić niełatwe dzieło wychowywania coraz to nowych pokoleń polskiej młodzieży. Również w obecnym okresie stara się on dostosować do sytuacji, śmiało sięgając po nowe metody pracy harcerskiej

i to czasami nawet kosztem niektórych „tradycyjnych“ form techniki harcerskiej, które ongiś „chwytali“ jako b. atrakcyjne, a dziś muszą zostać częściowo schowane do lamusa. Trudno. Musimy się godzić z tym, że w epoce wyzwolonego atomu i sputników alfabet Morse'a nie dla każdego człowieka jest rewelacją.

Harcerska „ofensywa programowo-metodyczna“ zaczyna biec od kilku miesięcy coraz wyraźniej w dwu kierunkach: nowoczesnej techniki i — krajoznawstwa. Decydującą rolę odegrała przy tym decyzja powzięta na jesieni ub. r. przez Główną Kwaterę ZHP, która ogłosiła nowoczesną technikę i właśnie krajoznawstwem głównymi kierunkami pracy w harcerstwie.

W zespole metod pedagogicznych, stosowanych z powodzeniem przez harcerstwo w ciągu pięćdziesięciu bez mała lat istnienia, wędrownictwo odgrywało zawsze wyjątkowo poważną rolę. Choć nigdy nie brakowało w nim elementów krajoznawczych, nie wychodziło ono jednak zbyt daleko — wśród chłopców — poza ramy turystyki ściśle powiązanej z techniką harcerską. Dziś, podnosząc krajoznawstwo do rangi jednego z głównych kierunków pracy w harcerstwie, chcemy w pełni wyzyskać jego humanistyczne walory. W niczym nie deprecjonując znaczenia turystyki jako metody w realizacji celów krajoznawczych, ani też nie pomniejszając roli poszczególnych gałęzi techniki harcerskiej — pragniemy dać wędrownictwu harcerskiemu zdecydowane, właśnie krajoznawcze, humanistyczne oblicze.

Takie stawianie sprawy nie jest bynajmniej rzeczą przypadkową. W epoce „odczłowieczenia człowieka“ harcerstwo podejmuje świadomą walkę o głębokie wszczepienie w umysły i serce młodzieży zasad szeroko pojętej kultury. Krajoznawstwo winno stać się jednym z podstawowych środków wiodących do tego, być może jeszcze dalekiego, lecz napewno możliwego do osiągnięcia celu.

Programowo-metodyczną i organizacyjną opiekę nad ruchem krajoznawczym w harcerstwie sprawuje na szczeblu centralnym referat

turystyczno-krajoznawczy Główniej Kwatery Harcerstwa; odpowiednikami jego w komendach chorągwi (wojewódzkie k-dy harcerskie) są sekcje turystyczno-krajoznawcze w wydziałach programowych.

Dla całego harcerstwa ustalono wieloletni plan zadań z zakresu krajoznawstwa. I tak Główną Kwaterę Harcerstwa — zwaną w skrócie GKH — obarczono zadaniami ogólnymi: szkoleniem instruktorów, akcją wydawniczą, opracowywaniem sprawności turystyczno-krajoznawczych, organizowaniem raidów „zagadnieniowych“ (ochrona przyrody, etnografia itp.) oraz zlotów, a także problemami związanymi z zapewnieniem harcerstwu bazy materialnej (sprawy schroniskowe, sprzęt, mapy).

Zadania dla komend chorągwi obejmują szkolenie drużynowych w zakresie krajoznawstwa, organizowanie harcerskich baz turystycznych i wypożyczalni sprzętu, przeprowadzanie zlotów krajoznawczych i propagowanie obozów wędrownych.

Hufce powiatowe, miejskie lub w dużych miastach dzielnicowe jednostki harcerskie winny dążyć do założenia na swym terenie skromnych schronów turystycznych. Dalsze wyznaczone dla nich zadania — to kierowanie pracą starszych drużyn przy opracowywaniu szlaków turystycznych na terenie swego powiatu, przeprowadzanie kursów dla przewodników po mieście i okolicy, organizowanie „złazów“ powiatowych przed wyruszeniem młodzieży na letnie obozy wędrownie, udział w pracach nad informatorem harcerskim powiatu, a wreszcie opracowanie cyklu zbiórek drużyny drużynowych przy komendzie hufca poświęconych zagadnieniom krajoznawczym.

Najciekawsze zadania przewidziano dla drużyn. Obejmują one osiem działów:

I. Przygotowania do wędrownictwa (zdobywanie ekwipunku i sprzętu, wywiad krajoznawczy najbliższej okolicy itp.).

II. Opracowanie informatora harcerskich wycieczek po powiecie (wykonanie mapy powiatu z obiektami poznanymi przez drużynę, sporządzanie opisów i szkiców).

OPRACOWAŁA MARIA LECHOWSKA • NAMIOTY

Współczesny turysta coraz częściej rusza na wycieczkę z własnym kompletnym sprzętem, a przede wszystkim z namiotem. Namiot pozwala uniknąć korzystania z kosztownych hoteli i schronisk. Daje swobodę wyboru miejsca biwakowania, dodaje uroku każdemu pobytowi w terenie. I właśnie w dziedzinie produkcji namiotów przemysł turystyczny rozwija niewyczerpaną pomysłowość, wyszukując wciąż nowe kształty i materiały. Produkcja namiotów w Polsce nie ma wielkich tradycji i w żadnym razie nie zaspokaja zapotrzebowania. Wielu turystów zabiera się do sżycia namiotów własnymi środkami. Z tą myślą pokazujemy tu kilka modeli namiotów znajdujących zastosowanie w różnych rodzajach turystyki.

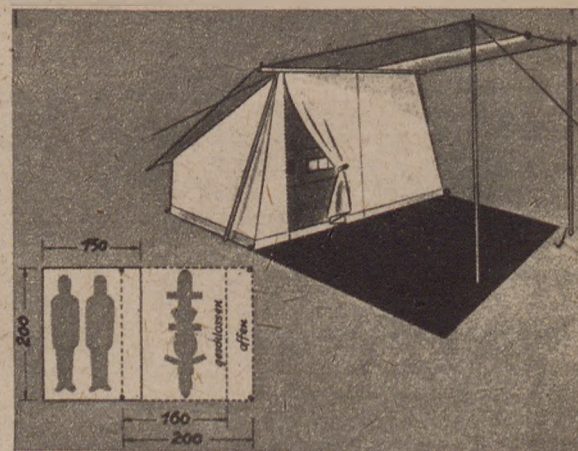
W Polsce turystyka samochodowa jeszcze się na tyle nie rozwinęła, aby podjęto produkcję namiotów wyłącznie znajdujących zastosowanie w tej gałęzi turystyki. Na zachodzie Europy natomiast istnieje duży wybór namiotów szytych z myślą o campingu samochodowym.



Popularny dwuosobowy namiot turystyczny francuskiej firmy Andre Jamet. Dwuspadowy dach tworzy naprzeciw wejścia „absydę“ przeznaczoną na plecaki i oddzieloną od reszty wnętrza masztem duralowym. Połączenie dachu zapinają się przechodząc w pionowe ścianki boczne wys. 35 cm bez okapu. Właściwą ochronę przed deszczem stanowi dach „burzowy“ połączony z dachem wewnętrznym wzdłuż grzbietu, lub nakładany osobno na sterzące końce masztów. Okapy burzowca sięgają niemal do samej ziemi — napinany jest własnymi linkami. Namiot posiada gumowaną podłogę przyszytą do ścian. Jego wysokość wynosi 120 cm, długość 200 cm + 55 cm (absyda), szerokość 150 cm. Całkowita waga 5,8 kg.



„Lubimka“ model francuskiej firmy „Montcamp“, znakomicie spełnia rolę typowego, wygodnego i szybko rozbijanego namiotu turystycznego. Część sypialna jest niższa, mieści 3 osoby. Trójścienna absyda od strony wejścia, oddzielona od wnętrza jedynym masztem, służy jako magazyn, a po podwinięciu podłogi jako kuchnia w czasie deszczu. Długość 175 cm + 80 cm (absyda), szerokość 220 cm, wysokość maksymalna 180 cm, waga 4 kg. Ukryte pod okapem dachu ścianki boczne części sypialnej mają wys. 35 cm. Zmniejszając wymiary namiotu i szyjąc go z lekkiego impregnowanego płótna, np. batystu, można obniżyć ciężar do ok. 2 kg.



Jak można ukryć pod dachem namiotu skuter czy motocykl i w jaki sposób ów „garaż“ można w ciągu dnia przeznaczyć na cieniastą werandkę — reklamuje zachodnio-niemiecka firma „Klepper“.



III. Szkolenie informatorów-przewodników po najbliższym terenie.

IV. Ochrona przyrody (tropienie życia zwierząt, dokarmianie w zimie ptaków, zwierzyny leśnej i polnej, walka z klusownictwem, opieka nad zabytkowymi drzewami itp.).

V. Poznawanie zimą miast przez drużyny wiejskie.

VI. Wyjazdy drużyn miejskich na zimowiska.

VII. Przygotowanie do letnich obozów wędrownych (opracowanie trasy, przygotowanie ekwipunku, opracowanie programu artystycznego, praca zarobkowa).

VIII. Organizowanie harcerskich muzeów krajoznawczych (eksponaty: „zdobycze“ z tras wycieczkowych — zdjęcia zabytków, reportaże z życia ludzi, zbiory piosenek, zielniki, szkice architektoniczne, zbiory minerałów itp.).

Pomocą przy realizowaniu tych zadań jest kilkanaście sprawności turystyczno-krajoznawczych oraz Znak Harcerskiej Służby Krajoznawczej, opracowane przez GKH przy uwzględnieniu opinii szerokiego kręgu instruktorskich. Warto przy sposobności podkreślić dwa momenty:

Po pierwsze — w oparciu o próby na wspomniane sprawności i ZHSK drużyny będą mogły budować długoterminowe plany pracy o zdecydowanym nastawieniu krajoznawczym i turystycznym, które dzięki temu automatycznie stają w jednym szeregu z pozostałymi „specjalnościami harcerskimi“ jak wodniactwo, łączność, lotnictwo, ochrona przeciwpożarowa itd.

Po drugie — zdobywanie sprawności i ZHSK nie będzie li tylko „sztuką dla sztuki“, lecz połączone będzie z wykonywaniem różnych prac społecznie użytecznych jak ochrona zabytków, zakładanie stacji turystycznych, zespołowe opracowanie monografii krajoznawczych itp.

Jest rzeczą ciekawą i znamioną, iż rozwój ruchu krajoznawczego — czy, ściślej, turystyczno-krajoznawczego w harcerstwie, rozpoczął się na wiosnę ub. r. całkowicie spontanicznie i „oddolnie“. Powstawanie drużyn turystyczno-krajoznawczych, zakładanie harcerskich ośrodków i stacji turystycznych, podej-

mowanie badań etnograficznych, współpraca z GOPR-em, udział w znakowaniu szlaków turystycznych, ochrona przyrody, organizowanie różnych wędrowek i udział w imprezach PTTK — wszystko to były wielostronne przejawy wielkiej aktywności drużyn na odcinku turystyki i krajoznawstwa. GKH, stawiana przez rzesze harcerskie wobec faktów dokonanych, potrafiła jednak we właściwym czasie sytuację opanować i — jak widzieliśmy — w odpowiednim kierunku skierować zapał młodzieży. Obecnie od dziesiątków nieskoordynowanych poczynań przechodzi się w całym Związku powoli ale systematycznie do działań planowych, co oczywiście nie pozostaje bez wpływu na treść i wartość podejmowanych prac. Np. Chorągiew Krakowska w bieżącym roku harcerskim koncentruje się na tzw. Akcji POZ („Poznajemy zwierzęta i opiekujemy się nimi“), a niektóre hufce rozpoczęły współpracę z Zakładem Językoznawstwa PAN.

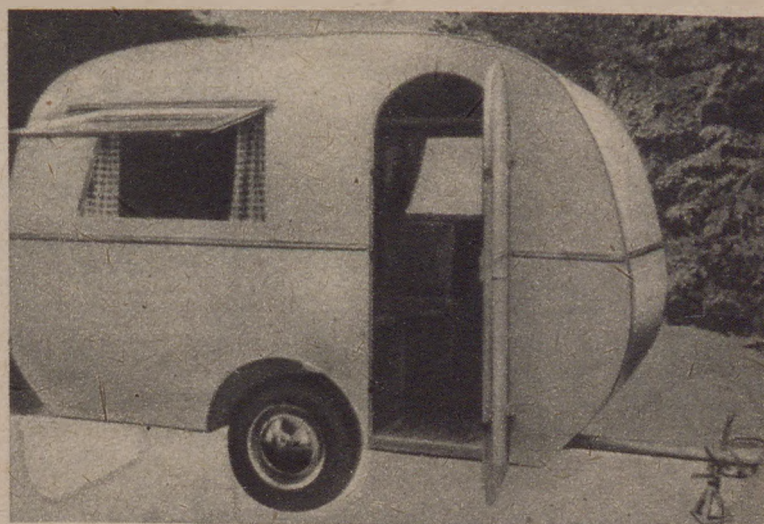
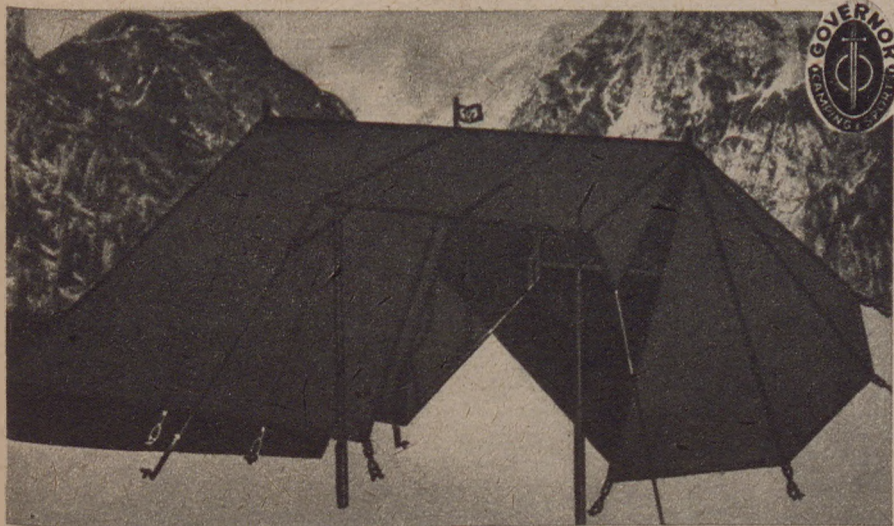
Jeszcze na jesieni ub. r. dla kilkudziesięciu uczestników z całej Polski zorganizowała GKH w Jelitkowie k. Gdańska pierwszy w historii ZHP kurs podharcemistrzowski o specjalności krajoznawczej. Po nim — sądzić należy — organizowane będą następne. Przyczyną się one do skryształizowania programów działania i ujednoczenia metod pracy, a Związkowi przysporzą wartościowych instruktorów-krajoznawców. Tych zresztą już i teraz w ZHP nie brak. W tym właśnie tkwi — być może — cała tajemnica szybkiego rozwoju ruchu turystyczno-krajoznawczego w harcerstwie.

„W złych dla harcerstwa latach 1950—1956 — stwierdził przewodniczący ZHP harcmistrz dr Aleksander Kamiński — tysiące instruktorów harcerskich i starszych harcerzy stało się najgorliwszymi członkami Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego“. Ludzie ci powrócili gremialnie do harcerstwa, by wśród młodzieży krzewić znajomość i umiłowanie ojczystego kraju. Wierzymy, że podjęty przez nich trud da piękne wyniki: z szeregów Związku Harcerstwa Polskiego wyrosną nowe zastępy turystów i krajoznawców.



Fot. Z. Łagocki

NAMIOTY • NAMIOTY • NAMIOTY • NAMIOTY

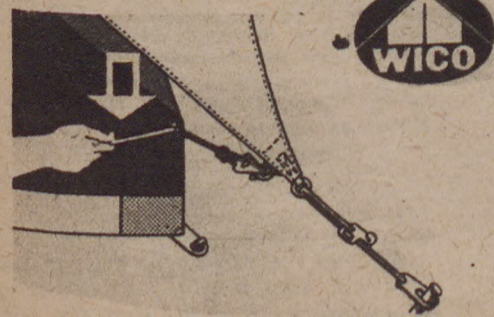


Obszerny namiot łącznie z garażem na samochód, produkcji belgijskiej firmy „Governor“. Całość rozpina się na składanych wykonanych z lekkiego metalu masztach a czas rozbijania namiotu — jak podaje firma — nie trwa dłużej niż 10 minut.

Za pomocą specjalnej linki przymocowanej z jednej strony do okapu a z drugiej przeciągniętej do środka namiotu — naciąga się wewnętrzne ściany namiotu, doprowadzając je do pionu.

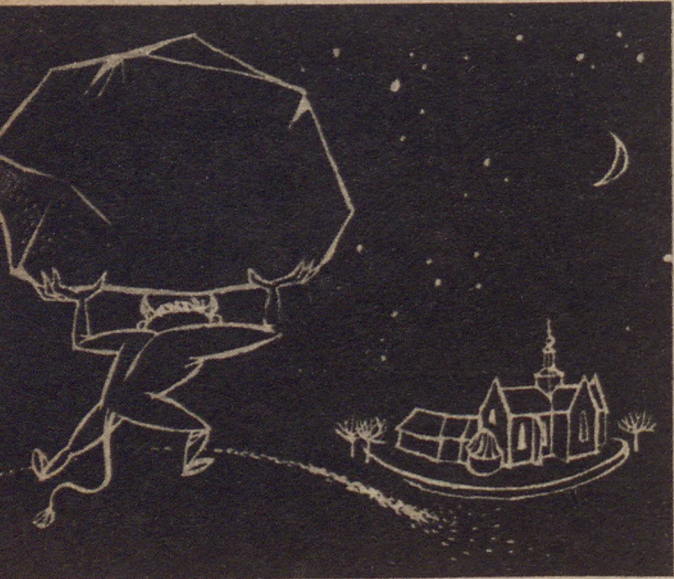
Belgijski „Governor“ do „wędrowek po świecie“ zaleca campingowe domki-przyczepy do samochodów.

„Governor“ propaguje pomysłówą spizarkę campingową, wykonaną z podobnej tkaniny co namioty, zapinaną na zamek błyskawiczny.



Otoczona dwunastoma szczytami Beskidu Wyspowego kotlina szczyrzycko-jodłownicka jest rodzinną okolicą mojej matki. Od niej też przede wszystkim nasłuchałem się legend i anegdot o tym kraju. Ziemia szczyrzycka to jeden z najdawniej zasiedlonych obszarów tej części Polski. Nie więc dziwnego, że okolica o tak starych tradycjach obfituje we wszelkiego rodzaju opowieści w których prawdę historyczną często uzupełnia ludowe podanie tworząc razem z nią harmonijną, a niekiedy i nie pozbawioną swoistego humoru całość.

Dwie naturalne drogi wiodły w głąb kotliny poprzez zamykający ją od północy Beskid. Jedną z nich stanowił Przełom Stradomki a drugą — koryto rzeki Tarnawy, które w górnych partiach swego biegu zowie się Wilkowiskiem. Należy przypuszczać, że te dwa przejścia były niegdyś ufortyfikowane. W przełomie Tarnawy istotnie znajduje się wzgórze o wiele mówiącej nazwie „Grodzisko” jednakże mimo poszukiwań nie natrafiłem tu na



ślad jakichkolwiek obwarowań. Być może jednak po prostu źle szukałem? Resztki natomiast wałów i fos kutyh w skale znajdują się na innym Grodzisku (ta sama nazwa!) położonym w przełomie Stradomki. Kto budował tu na szczycie góry warownię, nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że gdzieś z końcem XII lub z początkiem XIII wieku ów tajemniczy zameczek był już spalony. Pożar strawił drewniany gródek wypalając na ceglasto-piaskowcowe podłoże. Miejscowa legenda głosi, że zameczek był własnością woja z drużyny Bolesława Śmiałego. Dzieciąc lat bawił ksiądz ze swą drużyną w ziemi ruskiej. Nadchodzący nawet wieści, że wszyscy polegli. Toteż żona owego właściciela zameczku wyszła powtórnie za mąż. Nagle w czasie uczty weselnej pojawił się pan zamku. Rozgniewany niewiernością małżonki podpiera z zewnątrz drzwi oszczepem i podpala gród. W ogniu giną wszyscy biesiadnicy.

Tyle dawna legenda. Jednakże kilkadziesiąt lat temu pojawił się tu komuś duch owego rycerza. Polemizując z miejscową legendą widmo miało oświadczyć: „Nie tak było, od pioruna się spaliło!”

We wschodniej części góry, na której znajduje się Grodzisko, w pobliżu źródeł widnieją porośnięte dziś lasem resztki fundamentów. To Kłasztorzysko, miejsce po jakimś dawnym eremie.

Idąc w górę Stradomki dotrzemy do miejsca zwanego Kamieniem lub Pustelnią. Istotnie, tu u podnóża malowniczych skal mieszka pustelnik, a obok znajduje się mała kapliczka. Jedną z tych skal znaleźć się tu miała za sprawą diabła. On to bowiem dźwigał ów wielki piaskowcowy blok, by cisnąć go na opactwo cysterskie w Szczyrzycu. Po drodze jednak zaskoczyło go pianie koguta i musiał rzucić swój ciężar na ziemię. Jeszcze dziś miejscowi ludzie pokażą wam na „Kamieniu” odcisk gigan-

tycznej dłoni. To ślad po palcach diabła. W rzeczywistości zresztą mamy tu do czynienia z żelazistymi naskorupieniami, częstymi w beskidzkich piaskowcach.

Położone w pobliżu trzynastowiecznego opactwa cystersów w Szczyrzycu było widowiskiem jeszcze dziwniejszego wydarzenia. I to wcale niedawno, bo w okresie międzywojennym. Pewnego dnia pod murami klasztoru pojawił się planetnik. Sam fakt jego pojawienia się wielce by może okolicznej ludności nie poruszył, gdyż wiadomo tu powszechnie, że tego rodzaju istoty zajmujące się przeciąganiem chmur po niebie spadają — podobnie zresztą jak i żaby — wraz z deszczem na ziemię. Ten jednak planetnik wyglądał naprawdę przeraźliwie. Był to bowiem „pół chłop, pół baba, pół świnia” (tak składał się „z trzech połówek”). Potwór ryczał nocami strasznie. Tak strasznie, że ojcowie klasztoru bali się wieczorami wychodzić do ogrodu. Zwył się głównie koniczyną, której też niebawem spisał pół morga. Aby oglądać owe monstrum zewsząd ruszyły do klasztoru całe procesje ciekawskich, niszcząc i trując po drodze okoliczne pola. W końcu wdała się w to policja. Planetnika wprawdzie nie zaarrestowano bo ten oczywiście znikł. Zatrzymano natomiast jakąś Cygankę pod niesłusznym chyba zarzutem zniszczenia koniczyny.

We wschodniej części kotliny nad brzegami rzeki Wilkowisko leży wieś Jodłownik. W dzwonnicy do dziś można oglądać portret jodłownickiego dziedzica Przeclawa Niewiarowskiego, który w roku 1585 ufundował tujejszy kościół. Z pogrzebem tego szlachcica wiąże się dość oryginalna anegdota. Oto Niewiarowski w testamencie zapisał swą posiadłość w spadku temu zakonowi, który pochowa jego ciało. A zakonów w okolicy było dwa: cystersi w pobliskim Szczyrzycu i dominikanie w leżących dalej Zegartowicach. Perspektywa posiadania dworu w Jodłowniku była bardzo nęcąca, o czym świadczy fakt szybkiego pojawienia się na miejscu szczyrzyckich cystersów. Załadowali oni zwłoki na wóz i pośpiesznie opuścili dwór. Nagle kiedy przejeżdżali biegnącą między stawami groblą, drogę zastąpili im dominikanie. Liczyli się oni z tym, że mieszkający bliżej cystersi ubiegają ich we dworzę. Wyruszyli więc liczniej i zbrojniej. Od słowa do słowa na grobli rozgorzała bitwa, w czasie której walczący wrzucali się do stawów. W końcu udało się dominikanom odbić cenne zwłoki, które też natychmiast przewieźli do Krakowa, grzebiąc je w swym klasztorze za klauzurą. Widnieje tam do dziś nagrobek Niewiarowskiego. Jak było naprawdę — nie wiadomo, dość że w jodłownickim dworze osiedli dominikanie przerabiając go na klasztor. Do niedawna w dachu budowli sterczała klasztorna sygnaturka, a wewnątrz nawet teraz jeszcze można dostrzec ślady po ciałach i re-fektarzu.

Jak jednak wyglądała rezydencja przed przebudową? Dziś w pobliżu budynku sterczą dwa okrągłe cokoły jak gdyby po zburzonych basztach, dalej jakieś splantowane częściowo wzgórze; obecny układ dworu nie zgadza się z układem starych piwnic, dziś już w wielu partiach zasypianych. Ponoć na miejscu dworu znajdował się ongiś obronny zameczek, zdobyty później i zburzony przez Szwedów. Na pobliskich łąkach wykopano z początkiem bieżącego stulecia znaczną ilość dawnej broni a także

i nieco monet z czasów Zygmunta III. Jeszcze w czasie ostatniej wojny wisiał na dworskim ganku szwedzki granat dwudziestocentymetrowej średnicy (nielada trudność musiano pokonać ciągnąc po ówczesnych bezdrożach gór-



skich dział (tak pokaźnego kalibru!); w zasypanej zaś części lochów mają być ukryte skarby.

Po kasacie dóbr zakonnych za Józefa II dominikanie opuszczają jodłownicki dwór, przechodzący teraz w ręce świeckie. Nie opuścili go natomiast duchy zmarłych zakonników. Można je było spotkać na dworskim strychu a także i na końcu starego sadu. Zbyt natrętnych intruzów widma czasami biły po twarzy.

W przełomie Wilkowiska, tam gdzie zmienia ono nazwę na Tarnawa i gdzie wznosi się wspomniane na początku wzgórze Grodzisko widnieje wśród lasu skała dziwnego kształtu. Otaczają ją resztki jakichś robót ziemnych. O ile wierzyć miejscowej tradycji, znajdować się tu miała jakaś dawna strażnica. Na skale stał miał kamienny stół zabrany potem do pobliskiego dworu w Słupi. Co więcej okoliczni mieszkańcy opowiadają o jakichś procesjach i ofiarach ze zwierząt jakie miano tam składać jeszcze stosunkowo nie tak dawno (?). Jak zwykle i tu gdzie spoczywają ukryte skarby. Można je dostrzec tylko w Wielki Piątek. Pewna kobieta próbowała je raz nawet zdobyć wzięwszy ze sobą dziecko, które — jako niewinna istota — miało ją strzec przed czarami. Skarbami jednak nie zawładnęła a dziecko w tajemniczych okolicznościach przepadło gdzieś bez śladu. Chodzą słuchy, iż można je tu dojrzeć niekiedy noca.

Takie i tym podobne historie opowiadają sobie jeszcze dziś mieszkańcy kotliny dwunastu szczytów. A kim są oni sami? Otóż wprawdzie pod względem strojów i obyczajów ziemia ta należy jeszcze do Krakowskiego, lecz znać już tutaj silne wpływy góralszczyzny, której granica przebiega nieopodal. Jednakże wędrując przez leżące na tym pograniczu wsie nie próbujcie w nich znaleźć górali. Zawsze wam wskażę dopiero następną wioskę jako „góralską”. Nazwa bowiem „góral” jest tu nie- zbyt zaszczytną i nikt się chętnie do swego góralskiego pochodzenia nie przyznaje.

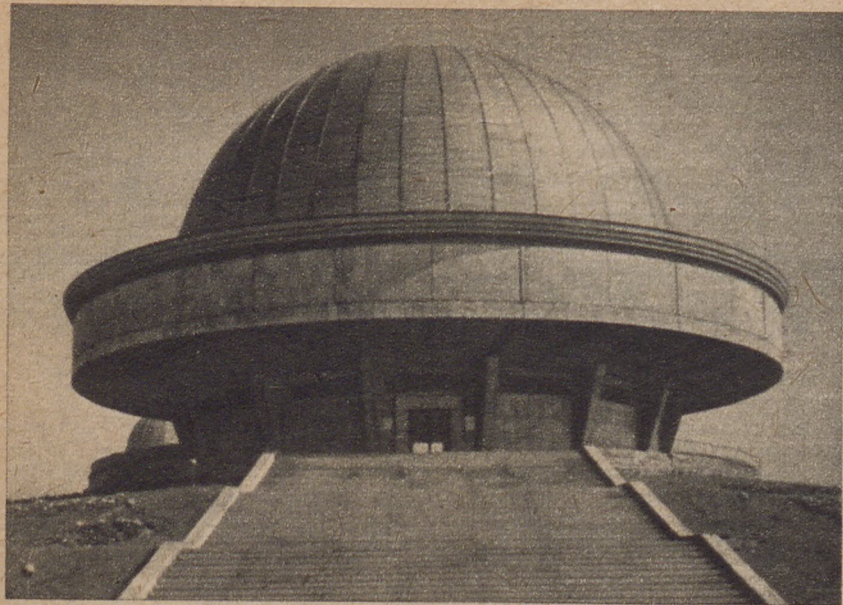


Rys. Janusz Smólski



ZAJAZD

Przed niedawnym czasem Tadeusz Chrananowski pisał w ZIEMI o niszczących karczmach i zajazdach. A oto jeszcze jeden przykład z Borowego (pow. Grójec) — budynek pozbawiony dachu, w rozbiórce. Sądząc z tego, co pozostało, musiał to być bardzo dobry przykład zajazdu z końca w. XVIII, murowanego, z portykami względnie niewielkim podcieniem kolumnowym w części środkowej. W chwili obecnej być może, powyższe zdjęcie jest już ostatnim dowodem istnienia tej budowli.



NIEBO NA ŻĄDANIE

Panie Redaktorze!

Przed dwoma laty powstało w Katowicach Planetarium Śląskie. Na pewno wielu czytelników nie widziało jeszcze tego ciekawego i jedyne w Polsce obiektu. A jest co oglądać! Odpowiednia aparatura potrafi tu wywołać obraz nieba w różnych czasach i miejscach. Planetarium jest wynikiem prac szefegu uczonych, reprezentujących różne dziedziny wiedzy. Zespół 120 projektorów wysyła wiązki światła na kopolaste sklepienie sali, służące za ekran. Ślady świetlne dają złudzenie gwiazdowego nocnego nieba. Otwory projekcyjne posiadają średnice różnej wielkości, a najmniejsze z nich są rzędu ułamka mikrona. Aparatura została sprowadzona z Jeny (N. R. D.), gdzie znajduje się jedyna w Europie wy-

twórnia (Zeiss) produkująca tego typu urządzenia.

Po ostrym dzwonku na sali robi się coraz ciemniej. To Słońce, które ukazało się przed chwilą na sztucznym niebie, chyli się ku zachodowi. Na „widnokregu“ zapalają się światła, do złudzenia przypominające wieczorny horyzont Śląska. Widać tu światła i cienie kopalń, hut i domów mieszkalnych.

Na sklepieniu pojawiają się najpierw największe, potem coraz mniejsze gwiazdy. Już „niebo“ iskrzy się różnej wielkości i jasności punktami, a głos lektora objaśnia zjawiska. Od czasu do czasu mignie na nieboskłonie świetlna strzałka, wskazująca objaśnioną planetę, gwiazdę, czy gwiazdozbiór, to znów pojawi się obraz przedstawiający gwiazdozbiór według wyobraźni Greków.

Po chwili widz orientuje się, że przeżył w przyspieszonym tempie kilka godzin nocnych — na niebie pojawiły się nowe gwiazdy, a niektóre znikły pod horyzontem.

Na niebo wypływa Księżyc w różnych swych fazach, planety; można zobaczyć mechanizm układu słonecznego. Od czasu do czasu wśród gwiazd ukaże się przeziroczyste, obrazujące powierzchnię Księżyca, Saturna, czy Marsa. Innym razem zobaczymy niebo, jakie oglądają naprzykład Eskimosi, Japończycy, Szwedzi, czy Australijczycy, uczestnicy wyprawy na biegun północny czy południowy; ujrzymy zaćmienie Księżyca i Słońca.

Dowiedzieć się tu można, jak odszukać Wenus, czy Jowisza, czym jest kometa i co się z nią dzieje na niebie.

Po godzinie niezapomnianych wrażeń „horyzont“ powoli rozjaśnia się. To „wschodzi“ Słońce, aby wyjść do

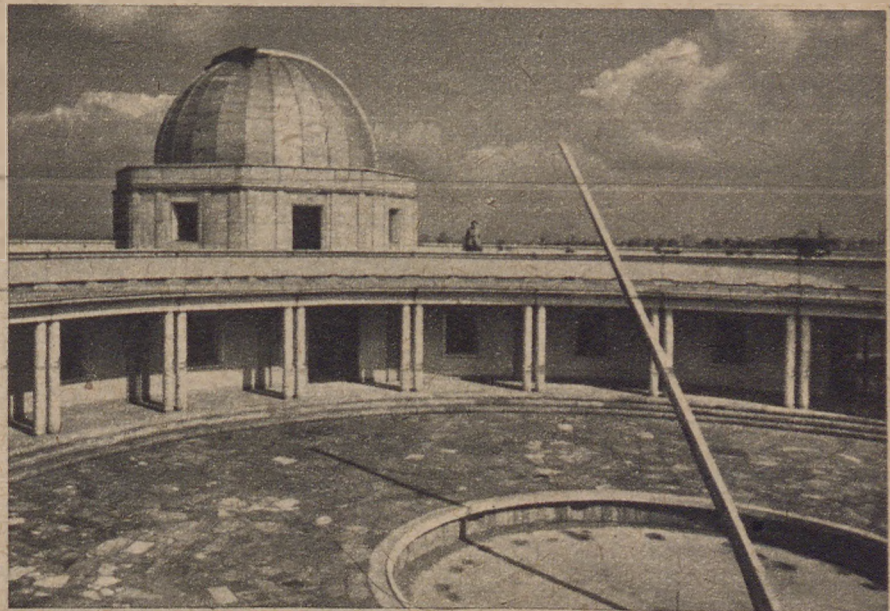
swego najwyższego punktu. Wychodzimy z sali.

Planetarium zbudowano według projektu inż. Zbigniewa Solawy z Krakowa. Okrągła budowla z wielką kopułą sali Planetarium i małą Obserwatorium Astronomicznego, króluje nad całym Wojewódzkim Parkiem Kultury i Wypoczynku w Katowicach. Głównym motywem budowli jest Saturn z pierścieniami. Szerokie schody i pomnik Kopernika po ich lewej stronie nadają powagi i piękna tej budowli.

Z tarasu Obserwatorium Astronomicznego widać wielki zegar słoneczny, wykonany przez dra Tadeusza Przytkowskiego. Zegar ten, umieszczony na dziedzińcu Planetarium, poza wskazaniami czasu pokazuje także zjawisko załamania promieni świetlnych w wodzie, gdyż środek jego tarczy stanowi sadzawka.

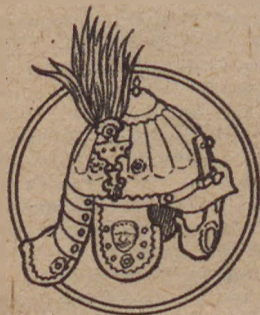
Andrzej Walawski
(Katowice)

Fot. J. Buszman



RECENZJE

ARSENAL



Zainteresowany czytelnik od dawna odczuwał w piśmiennictwie polskim brak fachowego czasopisma poświęconego problemom polskich militariów. Niektóre prace dotyczące tej dziedziny — z zakresu archeologii czy budownictwa wojskowego — tu i ówdzie publikowano, jednakże zagadnienia uzbrojenia w wieku XIV—XIX, jego systematyki, wytwórczości broni w Polsce, jej importu lub eksportu — wreszcie sprawy ubioru i umundurowania polskich formacji wojskowych — przezwyciężyć nie mogły do czasu druku. Prace podejmowane w tym względzie przez naukowców i miłośników, nie były prowadzone na płaszczyźnie odpowiedniego środowiska naukowego.

Ożywienie działalności w tej dziedzinie nauki, propagowanie wiedzy o militariach polskich, informowanie o postępach badań i osiągnięciach naukowych, organizowanie ekspozycji muzealnej i pomoc kolekcjonerom — oto program, jaki postawiło przed sobą utworzone niedawno

„Kolo Miłośników Dawnej Broni i Barwy“ przy Muzeum Narodowym w Krakowie. W zakresie swej specjalności stowarzyszenie nie ma odpowiednika na terenie kraju. „Arsenal“, kwartalnik redagowany i wydawany przez Kolo jest publikacją o charakterze naukowym.¹

Na treść pierwszego numeru składają się następujące rozprawy: Z. Zygulskiego: „Naręczak turniejowy ze zbiorów Czartoryskich“, J. Bandy: „Najstarszy zachowany polski mundur wojskowy“, L. Lewickiego: „Nieznany typ szabli polskiej z w. XVIII“ i inne. Również cenną publikacją jest podjęcie na łamach „Arsenalu“ druku bibliografii rozpraw i artykułów z dziedziny militariów polskich za lata 1940—57 (w którym odnaleźliśmy m. i. wzmiankę o dotyczącym tematu artykule opublikowanym w „Ziemi“).

„Arsenal“ wydawany jest w zeszytach 24-stronicowych o skromnej szacie zewnętrznej, typowej dla publikacji naukowych, z ilustracjami na

oddzielnych tablicach, starannie drukowanymi na papierze kredowym. Nakład wprowadzie niewielki, 500 egzemplarzy, ale za to numerowanych — rzecz nie bez „amaczku“ bibliofilskiego. Hość członków kolo nie przekracza obecnie stu osób i skupia naukowców, koneserów, wojskowych i miłośników tego rodzaju zagadnień historycznych z obszaru całej Polski. Ale to dopiero początek pożytecznej działalności.

Zyczymy „Kolu Miłośników Dawnej Broni i Barwy“ jak najpełniejszego osiągnięcia sukcesów naukowych oraz obudzenia żywego zainteresowania polskimi militariami wśród najszerszych rzesz kulturalnego społeczeństwa. (mk)

¹ „Arsenal“ — Kwartalnik Kola Miłośników Dawnej Broni i Barwy przy Muzeum Narodowym w Krakowie. Adres Redakcji: Kraków, Muzeum Narodowe, ul. Manifestu Łępcowego 12. Sekretariat Kola: Kraków, ul. Siemiradzkiego 17/3.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

H. WILCZEWSKI

Bibliographie der Insel Ruegen (1945—1954), von Wolfgang Rudolph und Albert Burkhard 1956, 2. Auflage. Wydanie Bezirksbibliothek Rostock. Oktober 1956. Na 28 stronicach zestawione piśmiennictwo dotyczące Rugii (włącznie z broszurami, artykułami w perio-

dykach, rozprawami, reprodukcjami dzieł sztuki, nutami i mapami (według następujących działów: historia z archeologią, krajoznawstwo (Landskunde), etnografia (Volkskunde) z historią kultury, folklorem i sztuką ludową, „Rugia w literaturze“, „Rugia w sztuce“, „Wybitne osobistości Rugii“, mapy, periodyki. We wstępie podkreślono, że Rugia cieszy się dużym zainteresowaniem w nauce i sztuce nie tylko obu części Niemiec, lecz także Szwecji i Polski, jednak z polskiego piśmiennictwa znajdujemy jedną tylko pozycję Hensel Witold „Słowiańszczyzna wczesnośredniowieczna, za-

rys kultury materialnej (Die slawischen Laender im fruhen Mittelalter. Abriss der materiellen Kultur-Darin auch Altkirchen, Arkona, Hiddensee), Poznań 1952“. Na naszą uwagę zasługują m. i. pozycje: v. d. Lancken-Wakenitz Gustav, „Die Abstammung des ruengenschen Adels vom ruengenschen Fuertenhause, Darmstadt 1952, Maschinenschrift“ i Schell Ursula, „Genealogie der Fuertsten von Ruegen (1164 bis 1325). Greifswald, Dissertation 1945. IV. 117. XX, 96 gez. Bl.“ (obie na str. 3), Baetke Walter, „Das Sveldr-Problem“ Berlin, Akademie-Verlag 1961, 70 s“ i Bernitt Hans, „Die Zerstoerung

Arkonas (1168) in-Vom alten und vom neuen Mecklenburg. Schwerin-Petermaerken-Verlag 1954. S. 33—36“ (obie na str. 6), 12 pozycji z działu „Fischerei und Fischverarbeitung“, przez Trautmann Reinhold „Die Elb- und ostseeslawischen Ortarnamen“. Berlin, Akademie-Verlag 1948/49. 119 187 S“, Fiedler Alfred, „Die Moenchguter Tracht, eine Tracht von der Insel Ruegen“ in „Deutsche Volkstraechten“ — Leipzig-Hofmeister 1954 S 16—17“. Bibliografia zawiera kilkanaście pozycji jej współautora Wolfganga Rudolpha m. i. „Land Valung und Insel Wittow-Staeten alter ruengenscher Schif-

fahrts-Tradition. in Uns'Kallender 1954. Rostock-Hinstorff 1953. S 19—21“.

„Mittellungen des Ernst-Moritz-Arnt-Heimatsmuseums der Insel Ruegen zu Garz“ Jahrgang 1957 — Nr. 1. Wydawca — Museumsleitung und Kreisbibliothek, w Ruengenscher Schiffbau zu Seedorf von Wolfgang Rudolph. Jest to broszurowy album fotografii i reprodukcji obrazów, przedstawiający budowane z drzewa żaglowce, z których najstarsze powstały w połowie XIX w. Rudolph podaje we wstępie, że w latach 1863 do 1926 zbudowano w stoczni w Seedorf około 150 drewnianych statków różnych typów.

PRZYPOMINAM WĘGRÓW

TOMASZ CHLUDZIŃSKI



Fot. Zb. Gucwa

Duży węgrowski rynek zaludnia się tylko w dzień targowy. Potem wozy wyjeżdżają uliczkami wychodzącymi z narożników rynku i powiatowe, pięcioletnie miasteczko znów jest ciche i senne. Turyści zaglądają tu rzadko. Parogodzinna jazda autobusem z Warszawy nęci niewiele. A jednak, już na pierwszy rzut oka wygląd miasta — jego zażytki, bardzo duży rynek — pozwala przypuszczać, że spokój i szczyt nie panowały tu odwiecznie.

W zaraniu swych dziejów miasteczko położone w ziemi drohickiej na Podlasiu, ale na samej granicy Mazowsza i ziemi liwskiej, jest kością niezgody pomiędzy panami Litwy i Mazowsza. Stopniowo jednak coraz ściślej więzy łączą Podlasie i Mazowsze z całym państwem i spory o granicę ziemi liwskiej i drohickiej tracą na znaczeniu.

Pierwsza historyczna wzmianka o Węgrowie, niewątpliwie wsi targowej, pochodzi z r. 1414. Jest to data fundacji kościoła parafialnego przez Piotra Pełkę wojewodę księcia mazowieckiego Janusza. W r. 1441 otrzymuje Węgrów prawa miejskie, a w r. 1479 staje się dziedzictwem ziemian, którzy przybrali nazwisko Węgrowskich (Uhrowskich). Z kolei przechodzi w ręce możnego litewskiego rodu Kiszków. W roku 1580 posiada Węgrów domów rynkowych 20, ulicznych 148, chałup 116, przemysłowców 45, włók osiadłych do 60, ogrodów 30.

Wiek XVI i pierwsza połowa wieku XVII to okres największego rozkwitu miasta. Położenie u zbiegu dwóch wielkich traktów: z Litwy do Warszawy i gdańskiego idącego na Łuków — sprzyja rozwojowi handlu. Przede wszystkim jednak zastąpił Węgrów w tym okresie jako ważny ośrodek życia religijnego protestantów. Pod opieką Kiszków wyrasta tu w roku 1558 zbór ewangelicki, od r. 1563 — ariański, posiadający przez pewien czas swoją filię w niedalekim Sokołowie. W grudniu 1565 roku właśnie w Węgrowie zebrał się pod przewodnictwem Hieronima Filipowskiego słynny synod ariański, na którym omawiano przede wszystkim sprawę chrztu niemowląt.

Warto nawiasowo wspomnieć, że synody protestanckie odbywają się odtąd w Węgrowie przez dwa wieki. Jeszcze w r. 1780, przez pamięć na dawny charakter miasta w dziejach protestantyzmu, zjechali się tu pastory z całej Polski i ułożyli przepisy obowiązujące osoby, które piastują godności kościelne.

Za czasów protektoratu Kiszków przy zborze ariańskim powstaje szkoła i drukarnia. W szkole wykładają Marcin Krowicki oraz Piotr z Goniądza, który w drukarni węgrowskiej drukuje ok. r. 1570 swoje dzieła. Ze szkoły wyszło wielu świątliwych obywateli.

Po wygaśnięciu rodu Kiszków przechodzi drogą spadku na Bogusława Radziwiłła, który w roku 1650 nadaje miastu liczne przywileje dla ściągania osadników, zapewniając „wiernie nam miłym poddanym naszym wszelaką wolność i swobodę, a od postronnych ludzi ochronę i obronę”. Zgodnie z zasadą „*culius regio eius religio*” prym w Węgrowie wiodą teraz luteranie. Do miasta przybywa wielu cudzoziemców, m. in. Szkotów, uchodzących ze swojej ojczyzny przed prześladowaniami religijnymi. Rozwija się handel i rzemiosło, a zwłaszcza sukiennictwo.

Potop szwedzki przerywa rozkwit miasta. Późniejsze lata również nie sprzyjają jego rozwojowi. W r. 1664 Radziwiłł sprzedaje Węgrów Krasieńskiemu, który wprowadza reformatorów. Rozpoczyna się ofensywa przeciwko protestantom. Wielu cudzoziemskich rzemieślników uchodzi z miasta. W r. 1678 w tajemniczych okolicznościach płonie zbór, a biskup łucki Witwicki długo przeciwstawia się budowie nowej świątyni protestanckiej. Jak mówi tradycja, postawił on warunek, aby zbór wybudować w ciągu jednej doby. Protestanci przemysłnie zbudowali z modrzewia ściany zboru w pobliskiej Starej Wsi, przewieźli do Węgrowa i tu w ciągu 24 godzin zmontowali zbór. Dziś zażytek ten możemy oglądać na ładnym cmentarzyku ewangelickim, gdzie znajduje się także parę XVII-wiecznych nagrobków.

Za reformatorami ściągają do Węgrowa księża komuniści (bartoszkowie), którzy od roku 1712 prowadzą w Węgrowie seminarium duchowne i szkołę publiczną. Komisja edukacyjna zaliczyła potem tę szkołę do rzędu wyższych podwydziałowych. W r. 1784 miała ona 280 uczniów.

W czasie wojny szwedzkiej na początku XVIII w. miasto ulega zniszczeniu, bierze jednak czynny udział w ówczesnych wydarzeniach historycznych.

Ważną kartą zapisał się Węgrów w dziejach powstania styczniowego. Już w pierwszym okresie wojny powstał tu jeden z największych obozów powstańczych, do którego ściągali przeważnie drobna szlachta miejscowa oraz robotnicy okolicznych cukrowni. Na czele oddziału złożonego z 800 strzelców, kilkudziesięciu kawalerzystów i 2000 kosynierów stanęli Jabłonowski i Jan Matliński (Janko Sokół). 2 i 3 lutego 1863 roku stoczono pod Węgrowem jedną z większych bitew w dziejach powstania.

Wojska carskie zajęły miasteczko Mokobody i wioskę Szaruty szykując się do ataku na Węgrów. Jabłonowski uderzył na Szaruty, ale gdy był bliski zwycięstwa, artyleria rosyjska zmusiła powstańców do odwrotu. Na drugi dzień Rosjanie rozpoczęli natarcie na rogatki Węgrowa bronione przez powstańców. Janko Sokół, nie widząc możliwości utrzymania miasteczka, zarządził odwrót do Sokołowa, a sam na czele paruset kosynierów zaatakował rosyjskie armaty. Polacy stracili 128 żołnierzy, ale powstrzymali chwilowo napór nieprzyjaciela i umożliwili swoim głównym siłom wycofanie się z miasta. Po pięciogodzinnej walce wojska carskie wkroczyły do Węgrowa, podpaliły miasto i wymordowały wielu mieszkańców. Bitwa pod Węgrowem odbiła się echem nie tylko w kraju. Francuski poeta August Barbier uczcił czyn powstańców wierszem, którego przekład zamieściła krakowska „Kronika” w nrze z 17. VIII. 1863 r. Oto fragment utworu:

„...I zajaśniały owe wielkie czyny,
Jakich nam dzieje przedstawiają
[mało:
Gdy dwóchset młodzi, jak Termopil
[syny
By resztę braci zastąpić się dało,
Mężnie na paszce rzuca się armatnie
I tam znajduje swe chwile ostatnie“...

Przed wojną społeczeństwo wystawiło na mogile poległych, przy drodze z Szarut do Węgrowa, prosty pomnik z ogromnego głazu.



Węgrów — widok z dachu kościoła farnego

Fasada węgrowskiego kościoła farnego widziana od strony rynku

Nagrobek w kościele poreformackim. Fot. Mirosław Kopydłowski

Wojny, pożary, a kresztą i sam czas pozabawiły miasto wielu zabytków. W czasie drugiej wojny szwedzkiej w r. 1702 zgorzał pierwszy kościół węgrowski, wystawiony przez Piotra Pełkę. Mury tej gotyckiej świątyni weszły w skład obecnej fary zbudowanej nakładem właściciela Węgrowa Jana Dobrogosta Krasieńskiego przez sławnego architekta Karola Ceroni w latach 1703—1711.

Dwie okragłe gotyckie wieżyczki pozostałe z poprzedniego obronnego kościoła tkwią teraz „na straży” pięknej barokowej fasady. Na rogach muru cmentarza stoją dwie dzwonnice, nakryte wysokimi piramidalnymi dachami — również pozostałości dawnego kościoła. Całość uzupełniają bardzo ładna bramka z połowy XVIII w., zniszczona w 1939 r. i odbudowana po wojnie. Cmentarz kościelny zajmuje całą pierzeję rynku.

Ciekawsze jednak zabytki znajdujemy dopiero we wnętrzu świątyni. Są to freski wykonane w ostatnich latach budowy kościoła przez Palloniego, reprezentującego malarstwo florenckie i rzymskie przeszczepione na grunt polski, które tematyką swą wymierzone były w silnych jeszcze w czasach budowy kościoła protestantów węgrowskich. Mianowicie w prawej nawie widzimy czyściec, święte i świętych polskich oraz znakomite w operowaniu światłem — nauczanie Najświętszej Marii Panny. W lewej nawie freski obrazują Ukrzyżowanie, Chrześc Chrystusa, Ojców Kościoła oraz adorację Trójcy Świętej. Fresk w ołtarzu głównym, odkryty częściowo w r. 1951, przedstawia Wniebowzięcie NMP.

Renesansowy gobelin w kaplicy Matki Boskiej, również renesansowy krucyfiks z kryształu górskiego, dwa obrazy Czechowicza w rokokowych ołtarzykach, parę epitafiów i portretów — oto dalsze zabytki węgrowskiej fary. Nie można też pominąć nagrobka Jana Rejnera, artysty malarza, kawalera papieskiego orderu Złotej Ostrogi, zdołciela pałacu wilanowskiego, a po śmierci Jana III, geometry u Jana Dobrogosta Krasieńskiego — fundatora węgrowskiej fary. Duży portret olejny tegoż wisi w lewej nawie, malował twórca nieznanym ale artysta niepospolity. Obok postaci magnata umieścił na portrecie istniejący kiedyś na rynku w Węgrowie ratusz. Jest to jedyny zachowany wizerunek ratusza; powiększony znajduje się także w zakrystii.

W tejże zakrystii obok licznych portretów duchownych i dobrodziejów kościoła można oglądać jeszcze ciekawy zabytek: zwierciadło Twardowskiego, za pomocą którego „czarodziej” pokazywał duchy zmarłych. Przed tym to lustrem zapewne siedział „żałosny król Zygmunt August,”

po stracie ulubionej swej żony Barbary Radziwiłłówny. Przez półtora wieku zwierciadło służyło księżom do ubierania się przed nabożeństwem, aż kiedyś, podobno w dzień Bożego Narodzenia, sędziwy proboszcz z osłabionym wzrokiem, zanadto przysunął świecę. Od jej płomienia lustro pękło. Zakrystian i dziady kościelne roznieśli po Węgrowie wiadomość, że w gorącej modlitwie pobożny proboszcz wypędził z lustra diabła, zamkniętego tam przez Twardowskiego, a diabeł uchodząc rozsądził zwierciadło. Ponieważ i potem jeszcze ukazywały się jakoby w zwierciadle „złe duchy” — do dziś dnia wisi ono wysoko zawieszony w zakrystii.

Obok kościoła stoi gmach dawnego kolegium ojców komunistów z wieżyczką na narożniku, nakrytą barokowym hełmem. Na północnej zaś stronie rynku — barokowy, z pierwszej połowy XVIII w. Dom Gdański z ozdobną, dwukondygnacyjną facją. Wystawili go przedsiębiorczy kupcy gdańscy mający swoją faktorię w Węgrowie.

We wschodniej części miasta stoi współczesny farze jeszcze jeden cenny obiekt barokowy — kościół poreformacki z przyległym doń klasztorem. Ozdobą kościoła jest fresk na kopule, wykonany przez Palloniego oraz kilka mniejszych, nieznanymi autorami na sufitach kaplic. Ciekawy jest również bogaty nagrobek Jana Dobrogosta Krasieńskiego, roboty złotnika Mackensa oraz chór „podwieszony” czyli nie oparty na filarach, a utrzymujący się dzięki specjalnie wykonanym sklepieniom.

Na tyłach kościoła zwracają uwagę dwa stare parterowe budynki, należące kiedyś do reformatów. W jednym z nich był browar, w drugim mieściła się prawdopodobnie wytwórnia sukna, jedna z wielu istniejących niegdyś w Węgrowie.

Teraz jeszcze spacer na drugi kraniec miasta. Widzimy tam przy ulicy Narutowicza 2 dom starszy od kamienicy Gdańskiej i, jak mówi miejscowa tradycja, stojący na miejscu dawnej drukarni ariańskiej. Kilka kroków dalej oglądamy skromny klasycystyczny kościółek ewangelicki oraz plebanię z r. 1762 zbudowaną przez Piotra Teppera, nadwornego bankiera króla Stasia.

Jak widać, to podlaskie miasteczko może poszczycić się sporą ilością zabytków. Cóż — kiedy równocześnie te wszystkie pamiątki dawnej świetności rozrzucone są w tłumie maleńkich, nędznych ruder, kiedy o parę kroków od rynku stoi nad rzeką szereg ogromnych stodoł, wcale nie nadający miasteczku miejskiego wyglądu. Po wyboistych ulicach chodzą kury i kaczki. Czasem je tylko płoszy drabiniasty wóz z kabiłkowątą duha. To wraca z pola któryś z miesz-



czan węgrowskich. Ten kontrast między pamiątkami dawnej świetności, a namacalnymi dowodami późniejszego upadku, to rys charakterystyczny całego regionu.

U góry: tuż za miasteczkiem ciągnie się rząd stodoł i okolicznych. Poniżej: tzw. Gdański Dom, wzniesiony ongiś w Węgrowie przez gdańskich kupców

DROBIAZGI • DROBIAZGI • DROBIAZGI

W styczniu w b.r. w Krakowie na zewnątrz kościoła siostr Dominikanek na Gródki zaczęto konserwację wielkiego obrazu malowanego wprost na murze od strony Plant. Po zdjęciu pierwszej warstwy pod spodem odkryto obraz Madonny z Dzieciątkiem w otoczeniu dwóch aniołków i dwóch świętych w czarno-białych dominikańskich habitach. Obraz malowany olejem wprost na murze, utrzymany jest w cieplej tonacji kolorystycznej. Górna część malowidła zachowała się bardzo dobrze, dolna nie chroniona daszkiem i wystawiona na działanie deszczu — dużo gorzej. Prace przy obrazie, początkowo miały trwać krótko. Jednak wobec ulkijryca

przerwano je na zimę a malowidła zabezpieczono. Konserwacja zostanie ukończona na wiosnę b.r. po czym historycy sztuki spróbują ustalić autorstwo i koleje tego obrazu.

I jeszcze jeden pomnik na opuszczonym cokole. Tym razem chodzi o Fryderyka Chopina. Status kompozytora stanął już w kwietniu na postumencie w warszawskich Łazienkach.

Z inicjatywy znanego miłośnika i hodowcy róz w Szczecinie — Kazimierza Waltera organizuje się pierwsze w Polsce Towarzystwo Miłośników Róz.

Podkomisja konserwatorska Rady Narodowej miasta Krakowa planuje zakończenie prac remontowo - konserwatorskich w bożnicach dzielnicy Kazimierz. W Starej Bożnicy znalazłoby pomieszczenie pierwsze w kraju muzeum judaistyczne, obrazujące historię Żydów w Polsce a szczególnie na Kazimierzu. Ponadto na cele muzealne przeznaczone mają być bożnice: Kupa i Popera. Bożnice Wysoka i Izabela po odnowieniu mieścić będą pracownie plastyków.

Zburzony w czasie wojny przez Niemców pomnik Tadeusza Kościuszki stanął w roku przyszył na placu Wolności w Łodzi.

W Koninie (woj. poznańskie) pracujący przy budowie odkrywki górniczej natrafili w niecce torfowej na głębokości 10 metrów na sterzące z ziemi kły jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia. Stwierdzono następnie że były to szczątki mamuta.

W odbudowanej na podstawie starych planów wieży Chojnowskiej w Legnicy, która jest częścią XV-wiecznych miejskich murów obronnych otwarte zostanie w r.b. Muzeum Ziemi Legnickiej. W muzeum znajdzie miejsce mnóstwo dokumentów i pamiątek świadczących o polskości najstarszych grodów piastowskich na Ziemiach Zachodnich.

Oprócz Tatr także i w Bieszczadach rośnie kilkudziesięcioletnia limba, jedyna zresztą w województwie rzeszowskim, w pobliżu miejscowości Liskowate (pow. Ustrzyki Dolne).

Prezydium Rady Kultury i Sztuki powołało komisję organizacyjną przygotowania Roku Słowackiego. Obchodzie go będziemy w r. 1959. w związku ze 150 rocznicą urodzin poety. Przewodniczącym komisji został prezes Związku Literatów Polskich — Antoni Slonimski.

Na przełomie roku 1957/58 otwarta była wystawa Polskiej Sztuki Ludowej w Paryżu. Ekspozycja spotkała się z żywym zainteresowaniem publiczności francuskiej i zyskała przychylną ocenę prasy paryskiej.

Ostatni numer bogato ilustrowanego magazynu „Sabena Revue” wydawanego przez Belgijskie Towarzystwo Komunikacji Lotniczej „Sabena” poświęcony jest w znacznej części Polsce. Oprócz licznych zdjęć zabytków architektonicznych, strojów ludowych w numerze zamieszczono krótki artykuł na temat historii Polski.

Przy odnawianiu elewacji frontowej zabytkowego kościoła Wizytek wzniesionego w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu na przełomie XVII i XVIII wieku, spod tynku wydobyto dwa skrzydła ciężkich, kutych w żelazie drzwi wejściowych. Ten cenny zabytek artystycznego kowalstwa, utrzymany w stylu późnego baroku, zdobi ornament wykonany z fantazyjnie powyginanych żelaznych taśm.

KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ



SCHODY

Siedem osad połączyło się w jedno miasto i powstał Rzym. A każda osada stała na osobnym wzgórzu.

Osiedla pokrywające szczyty i stoki wzgórz to bardzo charakterystyczna cecha włoskiego krajobrazu. Nic dziwnego, poza nizinym obszarem Padu, wzdłuż całego półwyspu Apenińskiego piętrzą się łańcuchy górskie. Konsekwencją budowy osad na górskich stokach są schody. One to bowiem łączą ze sobą poszczególne poziomy ulic i całych dzielnic. Schody wszelkiego rodzaju. Monumentalne i wspaniałe, na których sylwetka ludzka maleje do rozmiarów owada i strome, wąskie kręte, wspinające się w ciasnych wąwozach murów. Nawet w położonej na nizinie Bolonii, schody są chętnie i powszechnie stosowanym elementem architektonicznym. One też przede wszystkim rzucają się w oczy przybyszowi z Polski, nawykłemu do naszych płaskich miast, rozwijających się w ciągu wieków, mimo a czasem nawet wbrew, ukształtowaniu terenu na jakim je stawiano.



FOTOGRAFOWAŁ
WACŁAW NOWAK

Po lewej: uliczka w Assyżu. U góry: schody na placu przed rromańską katedrą w Arezzo. Powyżej: Kapitol w Rzymie. U dołu: miasteczko Sperlonga, gdzie w grocie Tyberiusza odnaleziono niedawno oryginalną rzeźbę Laokoona

DALSZE SCHODY
NA OKŁADCE





NOWE DZIEŁO REMBRANDTA

W centralnej pracowni konserwacji malarstwa w Leningradzie współpracującym z Narodową Galerią sztuki „Ermitage” — znalazła się stara dębowa deska z pociemniałym, bliżej nie określonym na pierwszy rzut oka malowidłem. Jedynie gęsta sieć kralur oraz wypukłych delikatnych

zgrubień, widocznych na powierzchni malowidła, świadczyły wymownie, że dotykał ją pędzel artysty i to nie było jakiego. Szczególną uwagę na ten zatarty wiekami obraz zwrócił J. E. Grabar, historyk sztuki, artysta i konserwator. Przywrócenie kolorytu faktycznego ujawniło wspinałą głowę brodatego starca, nakrytą wytwornym choć skromnym kapeluszem, lekko zwróconą w prawo od patrzącego na obraz. Teraz dopiero stało się jasne, iż styl portretu wskazywał na kopię Rembrandta. Świadczyły o tym pociągnięcia pędzla, szerokie, nieomyłne w wyrazie, oraz charakterystyczna gra światła i cieni. Co więcej — postać wynurza się z brązowego mroku, osiągając świetlistą żywą płamę w twarzy starca, pełnej jakiegoś litosnego wyrozumienia, połączonego z mądrym poważnym zamyśleniem... Na takie modelowanie osoby portretowanej, z tak dobitnym ukazaniem strony duchowej człowieka, mógł się zdobyć tylko Rembrandt van Rijn. Te i dalsze analizy naukowe obrazu utwierdziły Grabara w słuszności przypisywanego zabytkowi autorstwa. Ostatecznym potwierdzeniem stał się wreszcie odnaleziony na obrazie podpis Rembrandta, identyfikowany dodatnio z podpisami innych jego dzieł. Obraz jak wykazały badania powstał w Leydzie, w r. 1629.

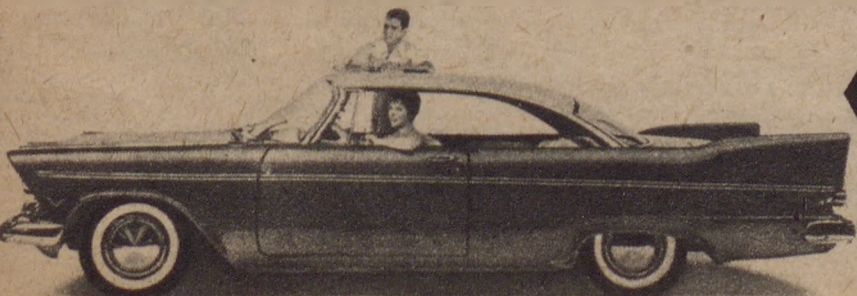
Tak więc sławnemu zbiorowi dzieł sztuki „Ermitage” w Leningradzie przybyło jeszcze jedno arcydzieło Rembrandta.

EDVIN MATASOV



Samoloty leciały tak nisko, że z łatwością można było dostrzec ich czarne krzyże. Rotterdam nie posiadał ani artylerii przeciwlotniczej ani osłony lotniczej, toteż bombowce krążyły systematycznie nad miastem, tam i z powrotem, jak orzące pole traktory. Gdy odleciały — centrum miasta nie istniało. 25000 domów mieszkalnych, 21 kościołów, 13 szpitali, 1200 fabryk i warsztatów, 6 szkół i 12 kin — legło w ruinie. Do odbudowy przystąpiono natychmiast. Miliony ton cegieł i tysiące ton stali ze zrujnowanych konstrukcji udało się wywieźć z miasta i ukryć przed okupantem na dniami jezior. Niebawem w zniszczonym nalotem centrum stanęło już 1600 domów i trochę sklepów. Ale w roku 1942 Niemcy obsadzają radę miejską kolaborantami. Odbudowa zostaje wstrzymana a większość wykwalifikowanych robotników wywieziona w głąb Niemiec. Ruiny porastają trawą. I wtedy to właśnie zaczyna w Rotterdamie kielkować myśl, by raz na zawsze pożegnać się z dawnym tradycyjnym wyglądem miasta. Z jego staroświeckimi kamieniczkami i systemem ciasnych, starych uliczek, w których utykał strumień nowoczesnych samochodów. W roku 1944 projekt Rotterdamu przyszłości jest już gotów. Autorem jest architekt Cornelius van Traa.

Z wiosną roku 1945 mimo braku kwalifikowanej siły roboczej odbudowa miasta i portu rusza pełną parą. Van Traa ogranicza ilość domów w centrum do 12000. Mimo że mieszka tu tyle samo ludzi co przed wojną, centrum jest o wiele przestronniejsze. Za to domy są o wiele wyższe. Wśród nich zbudowano ogrody, zieleńce, boiska sportowe. Wszystko według wymogów najnowocześniejszej techniki i w prawdziwie nowoczesnym, pięknym stylu. Środek miasta przecinają szerokie aleje spacerowe. Ciężarówki nie blokują ulic, gdyż wyładunek towarów odbywa się na specjalnie do tego celu przeznaczonych bocznicach jezdni. Opodal zbudowane lotnisko helikopterów dostarcza mieszkańcom jeszcze jednego środka szybkiej komunikacji. Fabryki natomiast zbudowano na skraju miasta. A przystań zniszczona na krótko przed końcem wojny, jest dziś drugim pod względem ruchliwości portem na świecie. Na podst. „Readers Digest” opracował LZ.



W pierwszym kwartale roku 1957 Stany Zjednoczone importowały 52 000 samochodów turystycznych konstrukcji europejskiej, a do końca roku cyfra ta podniosła się do 200 000. Stanowi to jednak zaledwie 3% rocznego zapotrzebowania rynku amerykańskiego.

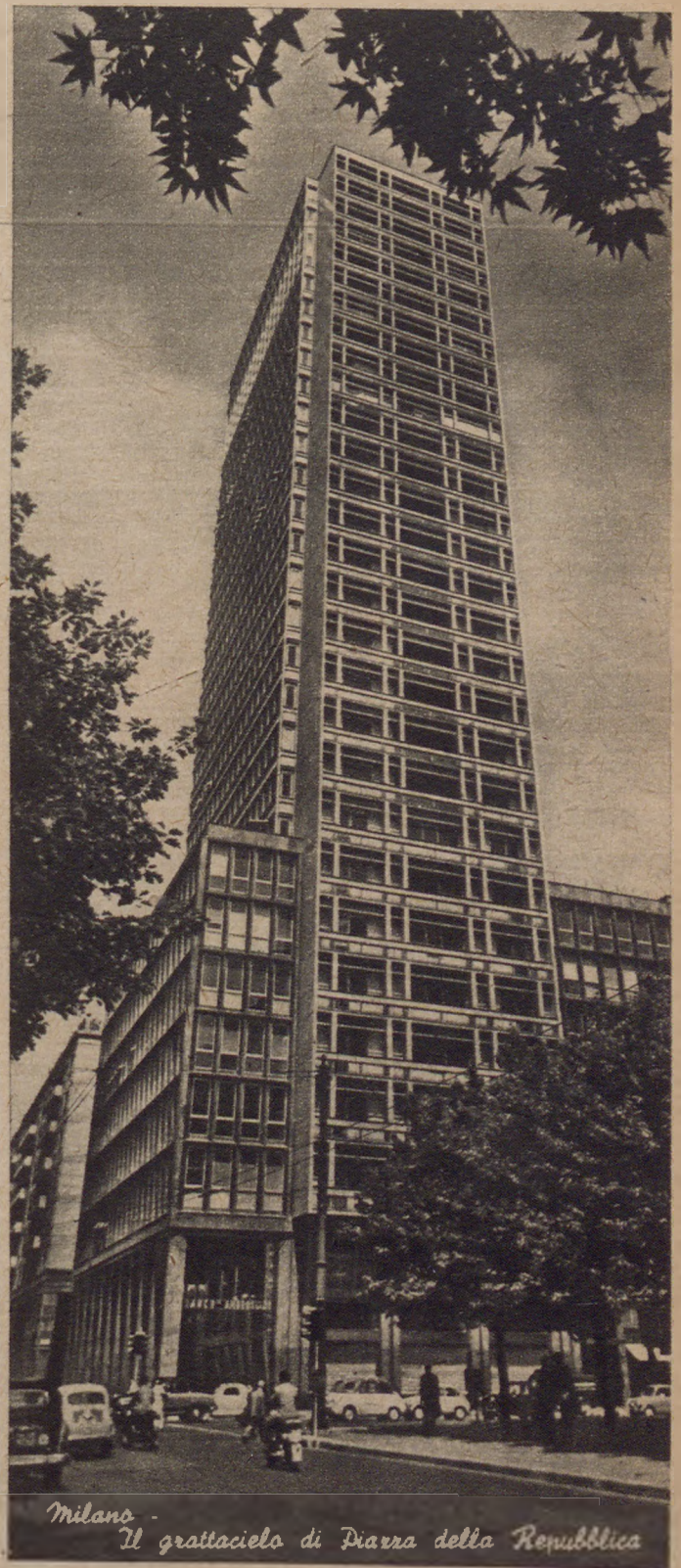
Modele na rok 1958 produkowane przez amerykański ośrodek przemysłu samochodowego w Detroit jesz-

cze bardziej wyglądem swym odbiegają od samochodów europejskich. Nowe wozy amerykańskie będą jeszcze większe, dłuższe i ekscentryczniejsze. Nie ma dotychczas mowy o tym, by starano się o ekonomiczną konstrukcję wozów, gdyż „big car” — duży wóz, odpowiada ponoć „stopie życiowej i nawykom przeciętnego Amerykanina”. (ap)



Tę parę jaków sfotografowali ubiegłego roku polscy alpiniści w dolinie Adyl-Su w Centralnym Kaukazie. Po wojnie sprowadzono tu owe zwierzęta z Tybetu w celu aklimatyzacji. Wypuszczona na wolność grupa tybetańskich jaków całkowicie zadomowiła się podobno w kaukaskich dolinach. I można przypuszczać że z czasem w Środkowym Kaukazie może rozwinąć się hodowla tych mieszkańców wyżyn Centralnej Azji.

Nasz dawny współpracownik Janusz P. Milewicz przesłał nam wraz z pozdrowieniami tę oto pocztówkę, przedstawiającą fragment nowoczesnej ulicy w Mediolanie





Powyżej: uliczka w Assyżu. U dołu: mostek w Wenecji. Po prawej: zaulek w Assyżu. U dołu, po prawej: boczne schody na Kapitolu

Autor reportażu, Waclaw Nowak, 32-letni fotograik z Krakowa. Uczestnik szeregu wystaw krajowych i zagranicznych. W latach 1956/57 uzyskał nagrody na wystawach w Berlinie. W roku 1957 zdobył również medal na australijskiej wystawie fotograficznej w Adelaide za fotografie z Łeby, reprodukowane przez nas w lipcowym numerze Ziemi z r. 1957

PATRZ WEWNĄTRZ NUMERU

